Nr. 10. Poznań, Niedziela 3go Czerwca 1894 r. Rok I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:



Pochód kapitałów.

Wiek bieżący jest erą rozszerzania się kapitalizmu. Rozwinięty przemysłowo zachód Europy, znajdując się w stosunkach handlowych z krajami mniej rozwiniętymi, wywoływał w nich zmianę poglądów, upodobań i potrzeb i wpływał w ogóle na podniesienie się ich poziomu kulturnego — w miarę zaś potrzeby wysyłał również względny nadmiar swoich kapitałów i sił fachowych umiejętnych, by zająć się bezpośrednio organizacyą produkcyi kapitalistycznej dalekich krain. Tą drogą t. zw. cywilizacya zatoczyła po świecie szerokie kręgi, rozlewając dokoła wszystkie swoje dodatnie i ujemne następstwa, a wyraz jej — koleje, pojawiły się nawet w odgrodzonych murem od reszty świata Chinach.

Państwo Rosyjskie, jako bezpośredni sąsiad Europy, musiało dosyć wcześnie odczuć jej wpływ. Działo się to jednak na szczególnem podścielisku. Jest ono klasyczną ziemią papierowych niewymienialnych pieniędzy, a zakupy, czynione na ościennych rynkach, gromadziły tam znaczną ilość banknotów, w skutek czego kurs ich obniżał się. Dla kapitalistów zatem zagranicznych było wielce wygodnem nabyć owe tanie pieniądze i przy ich pomocy zająć się produkcyą w kraju, z którego pochodzą i gdzie wartość ich nie uległa zbyt silnej zmianie. To było jedną z najważniejszych przyczyn powstania w nadgranicznym pasie Królestwa Polskiego szeregu zakładów przemysłowych pod wodzą obcych kapitalistów.

Taki napływ kapitałów obcych oddziaływał uruchomiająco na miejscowe w państwie. Wykazywały one naprzód korzystność danych przedsiębiorstw, powtóre zaś stwarzały siły fachowe. Rzecz prosta, że miejscowy kapitał musiał sobie obierać sferę działania bardziej odległą, gdzie z powodu dzielącej przestrzeni łatwo współzawodniczyć. Obok centrów przemysłowych w Królestwie powstały podobne w okręgu moskiewskim, a raz pobudzona pogoń za interesem zwracała kapitał do coraz nowych przedsiębiorstw i na dalsze przestrzenie. Następne fale obcych kapitałów zapuszczały się coraz śmielej w głąb państwa i pchając przed sobą kapitały miejscowe, wytworzyły jeden wielki pochód na wschód.

Obecnie placówki kapitału utwierdzają się na obszarach Syberyi. Ta ziemia bezbrzeżna, zasiana kośćmi polskiemi, uwieczniona przez poetów naszych, z której imieniem łączy się pojęcie grozy i dzikości zaczyna przybierać inny charakter. Rozwijają się na niej miasta, wzrasta ludność, powstają rozmaite gałęzie przemysłu, wznoszą się uniwersytety, a rząd rosyjski, obawiając się, by przestępcom politycznym nie było tam już za dobrze, nie wysyła ich więcej.

W roku 1889 w Minusińskim okręgu gubernii Jenisejskiej powstała pierwsza na Syberyi cukrownia. Narzędzia i aparaty zostały przeniesione z małej starej fabryczki na Ukrainie, zkąd sprowadzono i nasiona buraków. Pomimo nieumiejętnej uprawy i produkcyi według starej metody, co wszystko zmniejszało znacznie wydajność, interes okazał się na tyle korzystnym, że już w 1892 r. właściciel cukrowni, Guriew, przystąpił do powiększenia obszaru zasiewów, samej fabryki i aparatów. Ostatnie zwiększono miejscowemi środkami, gdyż sprowadzenie ze względu na dzielącą przestrzeń, byłoby za uciążliwe, zrobiono więc to w bardzo prymitywny sposób, co jednak nie przeszkodziło fabryce dawać ogromne dochody. Na trzy ruble rocznego wydatku, przypada 1 rubel, czyli 33 i jedna trzecia proc. czystego zysku po odtrąceniu na amortyzacyę kapitału. Cukrownia ta może być ilustracyą, jakie interesy robią się na Syberyi. Obszarom jej brakowało tylko arteryi komunikacyjnej, która by ułatwiła dowóz maszyn i robotników, oraz zbyt produktów. Na takie jednak ogromne przedsiębiorstwo kapitały prywatne nie mogły się odważyć, tem bardziej, że innych sfer działalności jeszcze mają dosyć. Zadanie wzięło na siebie państwo, i obecnie roboty prowadzą się w całym południowym pasie.

Przeprowadzone przy tem badania topograficzne i geologiczne rzucają pewne światło na przyszły możliwy rozwój tego kraju. Kolej przebiegać będzie przestrzenie przeważnie lesiste, często stepowe, czasem z charakterem środkowo-azyatyckich słonych stepów (dolina Tunguja) lub górzyste lasy składają się ze świerków, jodeł, modrzewi, sosen, cedrów, brzóz, osin, topoli itd. Dęby nie rosną. Spotykają się często bogate łąki. Grunty przeważnie czarnoziemne lub gliniaste, zdatne są wszędzie do uprawy. Zboża sieją się tylko jare, — oziminy wymarzają. Uprawiają pszenicę, żyto, grykę, owies i t. d. W niektórych miejscach ziemia jest na tyle żyzną, że nawóz jako zbyteczny palą. Pomimo to są przestrzenie 120 wiorstowe, (wiorsta czyli 1,06 kilometra), na których nie spotyka się ani jednego zabudowania lub kawałka uprawnej ziemi. Ludność rosyjska składa się przeważnie ze „starowierców.“ Mieszkający w środkowej części rozpatrywanej przestrzeni burjaci, niegdyś koczownicy, przedstawiają obecnie ludność osiadłą, trudniącą się rolnictwem, lub wpół osiadłą, żyjącą z hodowli bydła. Przestrzeń koczowania ostatnich ogranicza się nieraz do jednej wiorsty. Mieszkańcy pobrzeży licznych spławnych rzek zajmują się połowem jesiotrów, sterletów, omuli (gatunek śledzia) i innych ryb.

Węgiel kamienny rozmaitych gatunków i w różnej ilości znaleziono w bardzo wielu miejscach na całej prawie badanej przestrzeni. Zapas jego w pobliżu wsi Kuskuna obliczają na 1,024,812,500 kg. W Jenizejskiej gubernii są trzy takie miejscowości, z których każda mogłaby zaopatrzyć kolej węglem na całej przestrzeni gubernii. Badań w głąb, jak również dokładnej analizy węgla nie przeprowadzono. Prawdopodobnie nie znajdzie się odpowiednio wielkiego kapitału, któryby umożliwił zasilanie węglem całej linii kolejowej z jednej tylko kopalni: korzystać będzie musiała z kilku, a w obec obfitości lasów i z drzewa.

Z innych bogactw mineralnych znaleziono rudę żelazną w bardzo wielu miejscach: pokłady rudy magnetycznej w okolicy Irbińskiej „daczy“ obliczają na 819,050,000 kg. Dalej znaleziono w wielu miejscach rudę miedzianą, ołowianę, srebrną, złoto, glinkę białą trzeciorzędowej farmacyi i ogniotrwałą i t. d. W pobliżu miasta Czyty są źródła mineralne z których korzystają okoliczni mieszkańcy; inne podobne znajdują się w dolinie Chiłki, około jeziora Mogzona; ale z powodu bezdroży korzystają z nich jedynie burjaci.

W świetle więc powyższych badań południowy pas Syberyi przedstawia się jako ziemia żyzna, pokryta lasami dziewiczemi, przecięta mnóstwem spławnych i rybnych rzek i posiadająca ogromne bogactwa mineralne. Dodać należy, że studya geologiczne przeprowadzono bardzo powierzchownie i z pewnością wiele cennych pokładów zostało nieodkrytych, co łatwo wytłomaczyć olbrzymiemi przestrzeniami, na których się badania odbywały. Ludność obecnie nieliczna, ale urodzajność gruntu i bogactwa przyrody pozwalają na bardzo nawet gęste zaludnienie i szeroki rozwój przemysłu. Wraz z przeprowadzeniem kolei rozpocznie się tu orgia kapitału. Przez otwarte upusty wpłyną jego fale, pociągając za sobą siły robocze ludzkie. W niedostępnych, wyrosłych przez wieki tajgach zadźwięczy topór, ale nie po to, by z tych bogactw przyrody korzystać, ale by je zniszczyć i na ogołoconej z bezużytecznego na razie materyału ziemi poczynić zasiewy. Drapieżne ręce „kułaka“ rozpoczną na szeroką skalę rabunek wszystkiego, co tylko przynieść może zyski pieniężne. Hasłem będzie nie interes przyszłego rozwoju, ale korzyść chwili, a przy pogoni tej

za zyskiem masa bogactw zmarnieje. Ale kapitał posiada w sobie dwie siły: burzącą i twórczą.

Pierwsza wyraża się rozkładem starych form społecznych i rabunkowym systemem gospodarki, — druga tem, że z chaosu egoistycznych dążności, z ruiny i nędzy słabszych współzawodników wyłaniają się nareszcie stosunki, chociaż nie idealne, ale lepsze od poprzednich i bardziej odpowiadające potrzebom życiowym. Na ziemiach tak dziewiczych jak Syberya, kapitał ma uproszczone zadanie, gdyż nie wiele form uproszczonych ma do zburzenia.

Na rynku wszechświatowym — Syberya wystąpi naprzód jako wytwórca zbożowy. W kierunku tym czyniono już pewne usiłowania. Było kilka wypraw, jak Nordenskiölda, w celu wynalezienia drogi dla zboża syberyjskiego przez Ocean Północny, w następstwie czego spławiano je rzekami i Oceanem do Anglii. Droga ta jednak okazała się nazbyt uciążliwa i niepewna. Przy odpowiednich taryfach kolejowych zboże syberyjskie stanie się groźnym współzawodnikiem i wywrze swój wpływ na cały rynek i produkcyę w innych krajach.

Jeżeli sięgnąć głębiej w przyszłość, można przewidzieć Syberyę o gęstem zaludnieniu w południowym swoim pasie i rozwiniętych wszelkiego rodzaju gałęziach przemysłu. Głównym odbiorcą produktów fabrycznych byłaby dla niej Azya środkowa. Syberyę spotkać musi los wielu kolonij krajów europejskich, t. j. oderwanie się od metropolii i stworzenie niezależnego państwa lub państw. Pomimo bowiem dążności centralistycznych współczesnej produkcyi i korzyści sadowienia się na szerokich obszarach, syberyjskie są za wielkie, by mogły stanowić jeden organizm z Rosyą europejską. Póki są dzikie i puste — łatwo się przy nich utrzymać, ale gdy staną się ludne i bogate otrząsną z siebie niedogodną zależność. Wytworzyć się tam może nowa rasa ludzka przez domieszkę nawpół barbarzyńskich, obecnie pierwotnych ludów Syberyi, jak tatarzy, jakuci, burjaci, tunguzi i t. d., oraz napływowych Chińczyków. Ostatnich i teraz nie trudno spotkać w wielu miastach, przy budowie zaś kolei pracują jako robotnicy. Wzrost przemysłu i potrzeba rąk roboczych ściągnie ich więcej.

Zanim jednak wszystko to nastąpi, — rozwijająca się Syberya będzie przez długi czas odbiorcą wielu produktów europejskich.

P. Krańczewski.

Kwestya Damska.

W literaturze naszej, a częściej jeszcze w publicystyce figuruje od dość dawnego czasu tak zwana „Kwestya Kobieca.“ — Nie obejmuje ona jednak, jakby nazwa spodziewać się kazała, ogółu spraw dotyczących losu kobiet, a zajmuje się raczej tak zwanym ruchem emancypacyjnym, wyrażającym się głównie w dążeniu bardziej przedsiębiorczych osobników niewieścich do zdobycia większego zasobu wiedzy i zużytkowania takowej na polu nauki, albo praktycznych zawodów wymagających naukowego przygotowania.

Jeżeli zważymy, że tak pojęty ruch emancypacyjny dotyczy nie kobiet w ogóle, lecz tych tylko w szczególności, które dobijają się tak zwanych wyzwolonych profesyj, że należą one przeważnie do warstw zamożniejszych, to łatwo pojąć, że właściwie nieznaczna procentowo ilość kobiet jest w nim bezpośrednio zainteresowaną i, że przysługuje mu raczej nazwa „k w e s t y i d a m s k i e j“ niż bardziej ogólne miano „kwestyi kobiecej.“

Różnica ta nabierze tem wyrazistszego znaczenia, jeżeli zechcemy zwrócić uwagę na fakt, iż właściwa „k w e s t y a k o b i e c a“ pojęta ze stanowiska ekonomicznego, jako konkurencya kobiety z mężczyzną na rynku roboczym została już dawno rozstrzygnięta bez literackich fanfar i psychologicznych uzasadnień. Kobieta, pracująca zarówno z mężczyzną w polu od niepamiętnych czasów — wraz z rozrostem wielkiego przemysłu weszła do fabryk i kopalni, — a w niektórych gałęziach pracy ludzkiej częściowo albo nawet zupełnie wyparła mężczyznę.

W tym jej problematycznie tryumfalnym pochodzie nie decydowały pomiary czaszek, ani roztrząsanie fizyologicznych czy psychologicznych właściwości kobiety, tylko nader prosta i zrozumiała zasada: — zapotrzebowano pracy i kobieta dała ją taniej.

Wobec faktu rozstrzygnięcia sprawy przez pieniądz, ekonomiczny „nervus rerum,“ nie przyszło do głowy nawet żadnemu entuzyaście nawoływać zasmolone robotnice kopalni do zajęcia na nowo miejsca „kapłanek u domowego ogniska.“ Przeciwnie nawet się znaleźli uczeni ekonomiści zabraniający interwencyi państwa w sprawie pracy kobiet. — Uczeni ci mianowali wstecznictwem i krępowanim osobistej swobody jednostki każdą dążność do zaopiekowania się zdrowiem zapracowanych matek. Nauka może nigdy nie poszła bardziej i wstrętniej na usługi filisterstwa i interesu. Zaznaczamy ten fakt bynajmniej nie przypuszczając, żeby takie lub inne stanowisko uczonych mogło zdecydować ostatecznie o udziale robotnic w pracy zarobkowej; decydowały tutaj najbrutalniejsze i najsilniejsze jednocześnie czynniki: bo czynniki ekonomiczne.

To też kiedy dziś czytamy romantyczną nutą podzwaniające artykuły, a nawet poematy na temat cnót niewieścich — niewieścich zadań, kapłaństwa i t. p. umiemy postawić się w roli ich autorów i współczuć wraz z nimi — ale zdaje się, oni sami nie mają pretensyi do poruszania k w e s t y i k o b i e c e j, mówiąc raczej o uroku, wdzięku, powadze, cnocie wreszcie, a czasem i obowiązkach d a m y — nie zaś kobiety wogóle. Los milionów robotnic został zatem już zdecydowany i od czasu do czasu poruszanym bywa tylko przy debatach nad prawodawstwem fabrycznem, a czytającą i piszącą naszą publiczność zajmuje tylko ruch emancypacyjny kobiet z zamożniejszych sfer towarzyskich.

Zdawałoby się, że, co jest prawdą dla milionów, musi nią być także i dla setek tysięcy, że społeczeństwo, które przeszło w milczeniu nad zajęciem kobiet w, kopalniach — warsztatach tkackich i t. p., a przynajmniej uznało pracę taką za ekonomiczną i życiową konieczność, nie będzie miało innej miary dla kobiety poświęcającej się botanice, chemii, fizyce, medycynie. Zdawałoby się, że raz stworzona przez uczonych teorya o niekrępowaniu osobistej woli jednostki powinnaby znaleźć zastosowanie nie tylko dla kobiety-tkacza, ale także i dla kobiety-lekarza.

Stała się jednak rzecz dziwna — nauka zmieniła front. Dokąd chodziło o wyczerpującą i niepospolitych sił wymagającą pracę ręczną — uczeni nie zadali sobie fatygi zbadać odpowiednie uzdolnienia kobiety. Nie wyliczano jej fizycznych niedostatków, wątłości budowy, i t. p. ograniczono się na rozstrzygnięciu kwestyi przez postawienie ekonomicznej zasady o wolnej konkurencyi i etycznej o niekrępowaniu woli jednostek. Resztę zadania załatwił fabrykant — czy przemysłowy przedsiębiorca ofiarując kobiecie pracę tam — gdzie to dla niego przedstawiało korzyści.

Lecz o to wchodzi na porządek dzienny k w e s t y a d a m s k a! To jest: nie zapasy mężczyzny i kobiety na rynku roboczym, ale bezpośrednia konkurencya między uczoną i uczonym. Tu kobieta sięgając do zawodów wyzwolonych sięga wprost po katedrę profesorską, po togę uczonego, zagraża współzawodnictwem swem lekarzom, adwokatom urzędnikom. Podstawa ruchu tego jest ta sama, choć może nie zawsze świadomie stosowana ekonomiczna zasada: dążność za nowymi środkami zarobku, tem bardziej usprawiedliwiona, odkąd tak zwane kobiece zawody (muzyka — nauczycielstwo, szycie itp.) wskutek przepełnienia przestały nie tylko być

---

4)

Dr. PIOTR.

NOWELLA,

przez

Stefana Żeromskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Dobrze, dobrze... Do trupa! Wziąłem po ojcu folwark źle prowadzony, musiałem zaprowadzić płodozmian umiejętny...

— Płodozmian? Gdzież tu i jakie płody pan zmieniasz. Tu żadnych płodów wcale nie ma.

— Jakto nie ma?

— Nie znam się na tem, ale nie widzę ani żyta...

— A bobik?

— Co za bobik?

— No i bierzesz się pan do krytykowania. Widzisz pan ten pas zielony?

— Cóż panu przyjdzie z pasa zielonego, albo i z samego tam bobiku? Żyta nie widzę.

— A tamto ściernisko to po czemże, po kapuście z baraniną?

— Ależ to chłop przecież dwa razy więcej żyta wysiewa.

— Bo chłop niszczy glebę, sieje żyto po życie. Chłopu pan pozwól tylko, to panu na placu teatralnym „zimioków“ nasadzi, ale wcale z tego nie wynika, abyśmy mieli, idąc za jego przykładem, wyniszczać grunta. Tu rzeczywiście trzeba mieć trochę kapitału...

Nie pamiętam dokładnie, jak się to stało, dość, że nadeszła ta chwila, gdy pierwsze lokomotywy świstać poczęły na drodze żydowskiej — Jules Polichnowicz wyjeżdżał z Zapłocia, unosząc w podróżnej torbie kilka setek rubli. Folwark z ugorami, pustemi stodołami i litanią długów stał się własnością inżyniera Bijakowskiego. Nowy dziedzic przez czas pewien spoglądał z rozkoszą na pochylone pola, zapadający się w ziemię dwór staroszlachecki i wysokie topole z uschniętymi szczytami. Własny majątek! Stare domostwo, marzył, przeznaczy dla rządzcy, na wzgórzu, frontem do plantu, wzniesie skromny ale stylowy pałacyk... Zbyt długo wszakże inżynier nasz był człowiekiem praktycznym, aby idealne marzenie o pałacyku usunąć mogło na plan drugi myśl o ugorach.

Co począć z tymi ugorami? Czyliż dopprawdy osiąść w takiem Zapłociu i zacząć uzbierane pieniądze „wkładać“ w brózdy, stodoły, owczarnie? Jeździć co niedziela z rodziną do wiejskiego kościołka, zasługiwać się Panu Bogu, aby żyta gradem nie wybijał i strzegł od podpalacza.

Przyjechać na lato do siedziby wiejskiej, obserwować z małżonką zachody słońca, uganiać się (wraz z tąż małżonką) po pachnących łąkach za różnobarwnymi motylami, czytać Giowani Bocaccia w cieniu lip odwiecznych, nawet kiełbie łowić na wędkę w strumieniu — słodkie to są przyjemności, ani słowa; ale siedzieć tu zimą i łypać oczami na przebiegające pociągi, — to, co najmniej, nierozsądek.

Zupełnie inne uczucia miotały duszą pana Dominika Cedryny. Nabycie przez inżyniera folwarku dało mu nadzieję otrzymania posady rządzcy, powrotu na wieś, do roli, rozporządzania się, jak tego dusza zapragnie, mieszkania pod strzechą starego dworu. To też zasługiwanie się jego Bijakowskiemu, posłuszeństwo i niemiłosierna pilność przechodziły wszelkie granice.

— Ten pan inżynier wie dobrze — myślał stary szlachcic — co wart jest taki pan Cedryna. Wie, że to nie dorobkiewicz, goniący za zyskiem, wie, że taki Cedryna zdechnie z głodu, a nie ruszy tego, co należy do dziedzica: że wypruje ze siebie żyły dla tego, komu służy, bo to jest człowiek, posiadający nieznany dzisiejszym ludziom przymiot, śmieszny, maleńki przymiot staroszlachecki — honor.

Nie spełniły się nadzieje pana Dominika. Zjawili się „indywidualiści“ i zaproponowali

korzystnymi, ale nawet nie wystarczają na życie. Czyżby podstawą opozycyi mężkich przedstawicieli wyzwolonych zawodów miały być te same obawy, które swego czasu skłaniały nieraz robotników do czynnego oporu przeciw wtargnięciu kobiety do fabryk? Pomimo całego szacunku, jaki mamy dla uczonych panów — nie możemy innej racyonalnej podstawy do opozycyi tej znaleść. Rzecz pozostała ta sama, tylko środki zmieniły się odpowiednio do umysłowości i towarzyskiej ogłady współzawodniczących. Robotnik pięścią bronił swego miejsca przy warsztacie, uczony — naukową teoryą. Dawne oczywiście zasady poszły w kąt. Zaczęto badać ustrój nerwowy, — ważyć mózg, mierzyć czaszkę, wykazywać niedostatki fizyczne i psychiczne, aby na podstawie tych danych zbudować teoryę o niezdolności kobiety do umysłowych zajęć.

Trudno, naszem zdaniem, o bardziej niewdzięczną pracę, o ile ona do takiego twierdzenia doprowadzić miała. Nie mamy zamiaru bynajmniej kwestyonować nierówności uzdolnień mężkich i kobiecych — lecz co one mają do rzeczy? Kobietę do pracy umysłowej i dążności w kierunku odpowiednich zawodów popchnęła nie wiara w taką, a taką wagę mózgu, lecz elementarna potrzeba zarobkowania po za domem. To też wykazanie rzeczywiste tej wagi i innych niedostatków nie zdoła jej na tej drodze zatrzymać. Nikt nie mierzy czaszek abituryentów, ani doktorantów, lecz pozwala im bez różnicy zewnętrznych cech fizyo — czy psychologicznych wykazać swe wiadomości przy egzaminie. To samo dzieje się w życiu: o wartości pracy umysłowej sądzi się nie przez badanie umysłowości autora, lecz wedle przedmiotowej wartości jego pracy. Przypuśćmy, że mniejsze uzdolnienie kobiet wpłynie ujemnie na owoce ich pracy, to stanie się z niemi to, co się dzieje z mniej uzdolnionym docentem — lekarzem, adwokatem.....

Tam — na polu pracy umysłowej i praktycznego zastosowania zdobytej wiedzy rozstrzygnie się rzeczywista wartość kobiety, jako wyzwolonego fachowca, a nie zdecydują o niej wagi i miary, ani badania w salach anatomicznych. Kwestya damska jest tylko jednem ogniwem rozwoju ekonomiczno-społecznych stosunków i cząstką załatwionej już en masse sprawy kobiecej.

Wobec tego szkoda pracy i jeszcze większa szkoda szargania wiedzy w usługach społecznego filisterstwa.

Niech sobie poeci trzeciorzędnego gatunku skadzają „damę“, ściągając ją gwałtownie do znaczenia azyatyckiej bachantki, niech jej skrzydlaci i nieskrzydlaci adoratorowie szepcą o cichych cnotach, o wdzięku niewieściej słabości.... Odurzać się kadzidłami i erotyczną atmosferą szeptów będzie ona tak długo, dokąd życie nie spędzi jej z wygodnej otomany i nie każe pomyśleć o pieniądzach na jutrzejszy obiad.... Wtedy prawdopodobnie, kiedy już nie będzie chodziło o wybór między rolą „anioła,“ a pracą, tylko o decyzyę, co do rodzaju tej pracy — wtedy zrozumie i „d a m a,“ że wygodniej i korzystniej, a nawet zaszczytniej można zarabiać na utrzymanie z chemiczną ważką w ręku, niż pchając taczkę w podziemiach.

Może wtedy znajdzie się uczony fizyolog, który wykaże jak nieprzystosowane są muszkularne dłonie do subtelnych czynności w fizycznych, chemicznych, botanicznych pracowniach — albo też sprawiedliwie zechce uznać, iż różnorodność umysłów może tylko korzyści przynieść nauce tworząc różnorodność metody.

W naszem społeczeństwie chwila ta jeszcze nie nadeszła — widać ekonomiczne i społeczne warunki nie zmuszają ogółu kobiet do pracy zarobkowej, a sporadyczne objawy tu i owdzie — często wywołane raczej wyobraźnią niż rzeczywistą potrzebą, — nie zmieniają stanu rzeczy.

Przyspieszać tę chwilę i wpływać na jakąkolwiek zmianę pod tym względem nie jest też bynajmniej naszym zamiarem: tembardziej, że nie należymy do utopistów wierzących, iż artykuł gazeciarski może zmienić naturalny bieg kształtowania się warunków bytu społecznego.

Przeciwnie! Dokąd pewna część naszych kobiet nie czuje potrzeby pracowania po za domem na własne utrzymanie i dokąd stosunki ekonomiczne pozwalają im na to, doznajemy niejakiego zadowolenia i, gdyby to było w naszej mocy, może staralibyśmy się nawet przedłużyć stan dający łatwe i spokojne szczęście pewnej przynajmniej garstce społecznej, pozwalając jej trzymać się — do czasu przynajmniej — zdala od walki interesów, w której: homo homini lupus.

J. Rastawica.



POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej:

O sytuacyi politycznej na Morawie piszą młodoczeskie „S e l s k é L i s t y“:

„W chwili, kiedy lud nasz na Morawie budzi się do życia narodowego, aby w jednym stanąć szeregu z bardziej narodowo uświadomionym ludem czeskim i walczyć wspólnie za prawa narodowe, zarzucono na Morawę sieci agitacyi szlachecko - klerykalnej. Zniemczała szlachta czeska wraz z duchowieństwem czyni dziś przygotowania do walki przeciw naszemu programowi ludowemu. Szlachta czeska jest w radzie państwa w rządowej koalicyi, a jej poplecznicy łączą się w domu ze stronnictwem klerykalnem w tym celu, aby w lud czeski wmówić, że zbawienie jego nie spoczywa w czeskiem prawie państwowem, nie w walce ustawicznej o samodzielność, ale w wysiadywaniu przy garnkach egipskich w koalicyi rządowej.

„Tak nam to w zeszłą niedzielę mówił ks. Schoenborn, w ten sposób przemawiają księża w związkach katolicko-politycznych na Morawie. Wojowniczy nasi duszpasterze mówią, że niebezpieczeństwo grozi naszej wierze i kościołowi, że się z tej racyi musi zjednoczyć lud katolicki — bez względu na interesy, których broni stronnictwo narodowe.

„Człek zaiste nie wierzy, nad czem się bardziej dziwić, czy nad obojętnością dla najżywotniejszych interesów narodowych, czy też nad zaślepieniem klerykałów.

„W fanatyzmie niczem nie uzasadnionym wmawia się w lud, jakoby tu wiara była w niebezpieczeństwie, ów skarb najwyższy ludzkości, a tymczasem nasze duchowieństwo oddaje się w służbę dobrowolną naszym panom, którzy się wyrzekli ideału państwa czeskiego, naszego prawa państwowego i wstąpili w szeregi rządowej koalicyi.

„Wojowniczy panowie ze związków katolicko-politycznych wzywają lud do boju — za sprawy swych wysoko urodzonych patronów. Sprawy dobra ludu mają być przez lud sam ubite!

„Propaganda klerykalna, oddając się w usługi zniemczonej szlachcie czeskiej, sprzeniewierzyła się interesom narodowym. Lud czeski był pobożnym i pozostanie nim na zawsze, ale agitacya teraźniejsza zwrócona przeciw ludowi pozbawi duchowieństwo czeskie tej czci i poważania, jakich wśród ludu naszego zażywało.“

* *
*

Z Lublany, centrum ruchu narodowego Słoweńców, piszą do tryesteńskiej gazety słoweńskiej „N a s z a S l o g a“:

„Obecnej sytuacyi politycznej w Austryi i stosunku rządu koalicyjnego do nas Słoweńców nie mamy żadnego powodu wychwalać. Koalicya

---

inżynierowi rozparcelowanie folwarku. Po głębokim namyśle, po spłaceniu długów — Bijakowski rozprzedał ugory, pozostawiając sobie zabudowania, skalistą górę i mały skraweczek ornego gruntu po za ogrodem.

Do niepoznania zmieniła się postać tego kawałka ziemi. Kudlaci indywidualiści zwlekli się wkrótce na pola folwarku wraz z żonami, dziećmi, sprzężajem i dobytkiem. Chude szkapy osadników ciągnęły z lasu belki i gonty, koła wozów żłobiły nowe drogi wzdłuż dzikich miedz; wybierano studnie, grodzono płoty i na gwałt wznoszono domostwa. Po całych dniach słychać było łoskot siekier. Kwaśne pastwiska, porośnięte nędzną, kędzierzawą trawką, które, historycznie rzecz biorąc, od czasów kołodzieja Piasta aż do dublańczyka Polichnowicza służyły tylko za miejsce igrzysk i spacerów dla bystronogich zajęcy, pustki podleśne i obumarłe ugory nabrały teraz tak wielkiej wartości, że się stały częścią składową wielu istnień ludzkich. Liczne oczy wpatrywały się w te kawałki ziemi z niepokojem serca i osnuwały na nich nadzieje.

Gdy nadeszła wiosna, wyszły na ugory pługi i odwróciły skiby, przerośnięte murawą...

Gdy nadeszła wiosna, u podnóża góry, noszącej w mowie gminu nazwę „świńskiej krzywdy“, buchały wielkie kłęby dymu. Przyparty do zbocza góry olbrzymi cylinder szachtowego wapiennika wyrzucał w mokre mgły snopy iskier. Długa, nad przepaścią zawieszona ława łączyła okopcony szczyt komina z podnóżem białych turniczek. O kilkaset kroków dalej, bliżej dworu, wznosił się wysmukły, czerwony komin cegielni.

Smugi dymu, płynące po przestworze niebieskim, wywabiły z dalekich wiosek, w lasach ukrytych, gromadę bezspodniowców z zapadniętymi brzuchami i wydłużonym przewodem pokarmowym, wskutek bezwstydnego przeładowywania go samymi kartoflami. Przyszli i stanęli przed obliczem twórcy cywilizacyi. Inżynier wejrzał okiem mędrca na ich wywiędłe kadłuby, na brudem obrosłe ich dzieci, na znikome resztki spódnic ich żon, córek, kochanek — i miłosiernie wyznaczył im miejsce w postępie ludzkości.

Ze zrzynków od belek pobudowano lokale mieszkalne w gmachach, przez inżyniera wskazanych i poumieszczano tam przybyłych. Zwierzchnictwo nad całą produkcyą objął Dominik Cedryna, osadzony w dwu mieszkalnych izbach dworu. Inżynier opuścił dziedzictwo i udał się tam, dokąd powoływały go nieuniknione warunki ekonomiczne. Przed wyjazdem nauczył starego szlachcica, jak się ma zapatrywać na sprawy społeczne, gdzie zakładać kopalnie gliny, jak zsypywać do pieca bryły kamienia i formować z nich sklepienie, jak poznawać po mocnem świetle wapna, że kwas węglany, wypędzony z tych brył został, jak unikać tworzenia się w i l k ó w, jak normować płomienie, wchodzące do pieca z oddzielnych ognisk — itd.

I popłynęły jednostajne, równe i bardzo długie dnie rzetelnej pracy. Nadzorca wstawał o świcie, budził i prowadził do roboty czeladkę, a późna noc przypędzała go dopiero do domu.

Odwieczne kamienie jęczały pod młotami, waliły się całe urwiska niestrudzonemi uderzeniami, zlatywały ze szczytów i kruszyły się na drobne piaski ogromne bryły, podważone wysiłkiem ramion. Głębokie miejsca wszczepienia i oparcia żelaznych drągów, żłoby i garby, wykute dziobem ciężkiego kilofa, pozostały na zawsze, świadcząc, ile tam człowiek włożył siły mięśniowej. Za pomocą dwu dźwigni — drąga i oskarda — zepchnięto z posad całe skały, zdruzgotano kolosalne formacye. Braki narzędzia zastąpił prostacki „sposób“ na przyrodę, wymysł nie mózgu, ale raczej mięśni. Codziennie o świcie zaczynało się to spotkanie siepaczy z kamiennemi masami, które, nim uległy zuchwałej napaści człowieka, mściły się na nim, czyhały na każdą chwilę jego nieuwagi, na każdy moment omdlenia. Nawisłe złomy, gdy rozpętano nieopatrznie ich utajoną energię, zlatywały niespodziewanie, jak uderzenie piorunu, zabijając i kalecząc; każdy głaz zanim wtrącony został w czeluść pieca, do ostatka ranił, gniótł, karał ciężarem, twardością, ostrą po-

wzburzyła umysły Niemców, kraje nasze zamieszkujących, i obudziła ich wszystkie chucie. Niekoniecznie dobrze czujemy się w nowem powietrzu. W Lublanie do kasyna niemieckiego wstąpił obecnie prezydent krajowy baron Hein. Niemcy lublańscy rozzuchwalają się coraz bardziej i ośmielają do napaści coraz to gwałtowniejszych. Zresztą na nic ich usiłowania, przewagi niemieckiej nikt już u nas nie utrzyma; skutek jest tylko ten jeden, że krzyki i protesty niemieckie powstrzymują rząd od każdego, choćby najmniejszego kroku ku wymierzaniu nam sprawiedliwości.

„Niestety i Słoweńcy mają w swoich szeregach żywioł, który jest zawsze i ze wszystkiego zadowolony. Spokojny po każdej wyrządzonej mu krzywdzie i milczący na każdą obelgę organu starosłoweńskiego „Slovenec“, wybiera z koalicyjnej polewki muchy, aby Niemcom lepiej smakowała.

„Dziennik ten w zawody idzie ze słowianożerczą „Laibacher-Zeitung“ w podejrzywaniu ruchu młodosłoweńskiego, w potępianiu dążeń narodowych i odsądzaniu nas od wszystkiego. „Slovenski Narod“, główny organ Młodosłoweńców ciężką wieść musi walkę na dwa fronty.

„Dzięki pracy energicznej stronnictwa młodosłoweńskiego odradzają się miasta nasze i pozbywają charakteru niemieckiego. Najwcześniej emancypuje się Lublana. Obecnie zarządzono oznaczenie ulic tylko słoweńskiemi tablicami, co miastu nadaje charakter czysto słowiański. Niestety w naszej „„Białej Lublanie““ dużo jeszcze śladów niemczyzny. Wiele jeszcze czasu upłynie zanim się zupełnie z pod wpływu niemczyzny wydobędziemy. Powinniśmy dbać o to zwłaszcza, aby w lokalach publicznych, w hotelach i restauracyach zapanowała wszechwładnie słowiańszczyzna.“

* * *

Wychodzący w Zagrzebiu „Obzor“ rozpisuje się o tamtejszym teatrze narodowym i przeszkodach, które rząd czyni, aby instytucya ta nie mogła się należycie rozwijać.

„W ciągu lat ostatnich — tak pisze dziennik chorwacki — powracaliśmy już kilkakrotnie do kwestyi tej, która wszystkich Chorwatów w wysokim interesuje stopniu.

„Gdy Lublana, Rjeka i Split już oddawna znajdowały się w posiadaniu gmachów odpowiednich, nasz „„bily Zagreb““ zadawalniał się budą jarmaczną w dosłownem znaczeniu wyrazu. Trzynaście lat zbieraliśmy pieniądze na budowę nowego teatru, a przez ten czas nic nie uczyniono, aby wreszcie budowę gmachu rozpocząć.

„Jedynem ustępstwem, które rząd uczynił, było mianowanie nowego intendenta teatru w osobie utalentowanego pisarza dramatycznego dr. Szczepana Miletića. Ten młody literat jest patryotą i dobrym Chorwatem, który wszędzie walczy w imię postępu cywilizacyjnego i za prawa narodu chorwackiego. Dr. Miletić należy do rodzin patrycyuszowskich miasta Zagrzebia, jest bardzo majętnym, zwiedził nietylko stolice Europy Zachodniej, ale całą Słowiańszczyznę i zna wszystkie języki słowiańskie.

„Mianowanie Miletića intendentem naszego teatru jest wróżbą bardzo dobrą i za to należy się uznanie rządowi, który atoli z drugiej strony odmówił żądaniu opozycyi, aby teatr wybudowano na t. z. Jelaczycowym targu, w głównej części starego miasta.

„Rząd nosi się z projektem wybudowania teatru na przedmieściu przed uniwersytetem, gdzie się mieszczą różne budynki szkolne, jak konserwatoryum, szkoła przemysłowa, szkoła handlowa, raalne gimnazyum, dom nauczycielski, Koło, „Sokół“ i szkoła gospodarcza.

„W łonie opozycyi chorwackiej panuje z tego powodu niezadowolenie, ale zawsze będzie lepiej, iż ten teatr raz wystawią, aniżeli kwestya miałaby się przeciągnąć znowu na lat kilka.

„Według projektu opozycyi, budowa na Jelaczycowym targu pociągnęłaby większe za sobą koszty, gdyż musianoby tam wykupić kilka domów, a expropryacya kosztowałaby przeszło pół miliona złr. — mimo to przywódzca opozycyi dr. Frank oświadczył, iż Chorwaci w przeciągu dni 14 pół miliona drogą składek zbiorą, jeżeli rząd pozwoli teatr na miejscu tem wystawić.

„Nowy teatr chorwacki będzie wybudowany według planu architektów chorwackich Pellnesa i Hellnesa.

* * *

Bułgarski dziennik „Sławjanin“, wychodzący w Ruszczuku, jeden z wybitniejszych organów opozycyi bułgarskiej, pisze:

„Swoboda,“ organ Stambułowa nie rozporządza już miejscem, na którem mogłaby odpowiadać 22 opozycyjnym dziennikom bułgarskim. Wogóle walka przeciw Stambułowowi staje się z dniem każdym gwałtowniejszą, a Naczewicz i Radosławow obwiniają go wręcz o zdradę. Według nich gotów jest Stambułow wydać ks. Ferdynanda na pastwę Rosyi, aby tylko siebie zbawić. Stambułow odpowiada na to w „Swobodzie“ że Naczewicz, Stojłów i Radosławow pracują dla Niemców i Austryi i stara się zrzucić winę na barki ks. Ferdynanda, który przeciw niemu intryguje. Z tych to powodów przyszło do sprzeczki pomiędzy Stambułowym a ministrem wojny Sawowym, który Stambułowa wyzwał na pojedynek. Książę Koburski sympatyzuje z Naczewiczem i Sawowym, ale boi się wystąpić otwarcie przeciw Stambułowowi, dla tego, że z ostatnim trzyma bez wątpienia komendant miasta Sofii, Marinow.

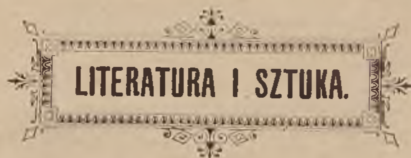
„Słowem, w niedalekiej przyszłości należy się spodziewać ważnych wypadków, które obecnej sytuacyi zagmatwanej położą koniec.

„Metropolicie Klemensowi nie chce za żadną cenę pozwolić Stambułow powrotu do Tyrnowy.

„Stambułow przytem obstaje, aby święty synod z urzędu metropolitę złożył i pozbawił go godności, którą piastuje. Gdyby tego synod nie uczynił to on sam da sobie ze zdrajcą radę.

„Bułgarski exarcha w Carogrodzie orzekł, iż Klemensa tak długo uważać będzie za metropolitę tyrnowskiego, dopóki go synod z urzędu nie złoży. Ale po zatem exarcha nie zaprotestował przeciw wypędzeniu Klemensa z kraju i on to podobno wyjednał amnestyę u ks. Ferdynanda, który pozwolił Klemensowi mieszkać w każdej miejscowości bułgarskiej z wyjątkiem Tyrnowy.

K.



NOWY „NARODNIK“

w literaturze rosyjskiej.

Radykalny przewrót, jaki w dziedzinie ekonomicznej, w życiu społecznem, w sposobie myślenia i w poglądach na świat i ludzi w całej Rosyi wywołały reformy „cara Oswobodziciela“, (mianowicie usamowolnienie chłopów) stanowczy wpływ wywarł na rozwój nowoczesnej literatury rosyjskiej. Zmienione warunki życia rosyjskiego ujawniły się w literaturze jako nowy, młody, gwałtowny prąd nawskroś rewolucyjny Nagle, jakby z pod ziemi wyrośli, występują całą gromadą na scenę literacką młodzi, nieznani ludzie, którzy walkę wypowiadają wszystkim dotąd utartym pojęciom o sztuce, o pięknie, o zadaniach literatury, — których jedyną bronią — lekceważenie wszelkich „reguł“, wszel-

---

wierzchnią, parzył ogniem i dusił dymem, jak wróg śmiertelny wyżerając życie.

Bezkształtne obnażenia warstw głębokich i ułamane wierzchołki stoją na tem pobojowisku, jak płyty grobowe i jak sarkofagi. Szarugi jesienne i wichry zimowe wyżłabiają na ich powierzchniach tajemnicze znaki, — może imiona rycerzy kultury, co tam polegli w boju z przyrodą.

*

Pan Dominik zasnął dopiero nad ranem. Nie był to posilny odpoczynek, lecz starcze półczuwanie. Zjadliwa, błędna boleść nie usunęła się ani ukoiła, lecz jak topór kata, ciężka a nieujęta, wisiała w postaci snu nad znękaną jego duszą. Śniło mu się, że stoi na rozmiękłej grobli, u brzegu zamarzniętego stawu. Lód na nim był siny, kruchy i nasiąkły wodą. Nagle zobaczył idącą ku niemu z przeciwnego końca stawu postać omgloną. Widmo szło, lekko się kołysząc, zgrabnie zataczało koła, ledwo, ledwo, dotykając stopami gładkiej powierzchni. I oto — w mgnieniu oka — zobaczył tuż przy brzegu, prawie u stóp swoich falę, zwijającą się ogromnym kłębem, lód popękany na drobną krę, a na wodzie rozmoczone, jasne, jak len włosy. Cudne kędziory młodzieńcze to rozbiegały się na wodzie, to lgnęły kosmykami do czoła, do jasnego czoła Piotrusia. Starzec usiłuje krzyczeć, ale gardło ma ściśnięte i zatkane, jakby skrzepami zsiadłej krwi, chce rzucić się w wodę, lecz, nie wiedzieć czemu, nie może jej dosięgnąć. Zanurza wreszcie ręce po łokcie i czuje zimno, ścinające, okropne, śmiertelne zimno w żyłach, w piersiach i w sercu. Gdyby mógł wydać jęk, jeden tylko jęk, jeden okrzyk, gdyby chociaż mógł westchnąć...

Brzask zimowego świtu, ubielił zamarznięte szyby. Dał się słyszeć łoskot drzwi roztwieranych w czworakach, odgłos skrzypiącego stąpania po zmarzniętym śniegu i rozmów ludzkich. Pan Cedryna się ocknął i ciężkim wzrokiem powiódł po swej izbie. Maleńka miara pociechy spłynęła do jego duszy, gdy się uwiadomił, że to, co widział przed chwilą, było snem tylko. Niestety, to — co czuł przed chwilą — trwało... Przedsenne zgryzoty rzuciły się nań znowu i, jak mściwe, rozłoszczone pszczoły, ciąć poczęły jego serce. Obejmowała go złowieszcza niechęć do tej izby, do nadchodzącego dnia, może dla siebie wreszcie.

Na pół rozebrany usiadł na łóżku i tępym bezsilnym wzrokiem patrzył w kąt pokoju. Niedosłyszalnie dla samego siebie, zaledwie ruchem warg — wymówił:

— Żeby to już raz dla cholery... umrzeć... tfu...

Rozległo się stukanie w szybę, jakiem jeden z robotników, pełniący obowiązki stróża, dawał znać nadzorcy, że idzie z naręczem drew palić w piecu. Pan Dominik nie poruszył się. Dziki wstręt i bezmyślna nienawiść zaciskały jego pięście. Wszystka jego inteligencya osiadła na jednej trzeźwej myśli.

Żeby to już raz...

Stukanie w szybę powtórzyło się i nieznany głos zawołał:

— Czy pan Dominik Cedryna jest w domu?

Stary zerwał się na równe nogi. Wszystko jedno, kto to stuka — byleby ktoś obcy, jakiś człowiek nieznany, byleby nie ten parobek w cuchnącym kożuchu.

— Pame Cedryna! — zawołano z za okna.

Wszystka krew spłynęła nagle do serca starowiny. Pośpiesznie wciągnął długie buty, narzucił na ramiona lisiurę i, podbiegłszy na palcach do okna, zaczął chuchać na szybę i wycierać w szronie okrągły otwór. Naraz przerwał tę czynność i raptownie odwrócił się do ściany. Zgiął się w pałąk, oczy mu zaszły bielmem, twarz skurczyła się boleśnie, ręce zacisnął spazmatycznie — i mówił, nie wiedząc do kogo, cichym, równym głosem:

— Jeżeli tam, za oknem, jest Piotruś — ja ci oddam... ty wiesz, że ja nie skłamię... ja ci oddam...

Raz jeszcze mocno — mocno ścinął sobie ręce i spokojnie poszedł ku drzwiom. Odrzucił haczyk i wyszedł do sieni, szeroko otworzył drzwi na ganek i stanął w progu. Na ścieżce stał młody człowiek w krótkim paleto-

kich uświęconych przeszłością formuł artystycznych, — jedyną zasługą — szczera miłość ludu i chęć służenia ojczyźnie, jedynem zadaniem, wypowiedzenie ogółowi czytającemu tych wszystkich nowych prawd i uczuć, które ich samych poruszają do głębi. I rzecz dziwna: publiczność, której smak kształcił się na pełnych artyzmu wzorach klasycznej literatury rosyjskiej, z zapałem wita śmiałych nowatorów. „Narodniki" (tak sama siebie nazwała nowa szkoła) stają się ulubieńcami czytającej publiczności i w latach sześćdziesiątych i siedmdziesiątych, dominujące w literaturze rosyjskiej zajmują stanowisko.

Kierunek nowej szkoły literackiej, jak już powiedzieliśmy, nawskroś był rewolucyjny: — rewolucyjny zarówno pod względem treści utworów jako też pod względem formy.

Nie ukazują się już w utworach „narodników" stare, szablonowe postacie powieściowe, oklepane tematy i zużyta do szczętu dekoracya. Nie ma tam już ani pięknych hrabin, ani kniaziów rycerskich, ani amorów sentymentalnych, ani zamków średniowiecznych, ani alej kasztanowych. Nowi ludzie, nowe zagadnienia wypełniają utwory „narodników". Występują na pierwszy plan, przedstawiciele niższych warstw społecznych, ich potrzeby, ich żale, ich nadzieje i zawody, — a więc chłop, robotnik, drobny kupiec, rzemieślnik, nauczyciel wiejski, dyakon; kwestye zarobku, oświaty ludowej, szkolnictwa, rozwój przemysłu na podstawie nowoczesnego kapitalizmu, zanik dawnych form własności itd. Słowem miejsce dawnych wyidealizowanych postaci i urojonej harmonii społecznej, zajmują — nowi, prawdziwi ludzie i twarda, ciężka rzeczywistość rosyjska.

Do nowych tematów nie przystawała dawna forma powieści i nowelli. Szukano nowych, wygodniejszych. Trudno atoli pochwycić wspólne cechy zewnętrznej formy pierwszych utworów „narodników". Każdy z młodych ludzi, którym kipiące sprzecznościami społecznemi życie ówczesne gwałtem niejako „wpakowało" pióro do ręki, odznaczał się wybitną indywidualnością, wyodrębniającą się ostro od innych jej podobnych. A indywidualność ta najbardziej uwydatniała się we formie. Rzecby można, że jedynie lekceważenie d a w n e j formy, że b r a k ś c i s ł e j f o r m y artystycznej wogóle stanowił wspólną cechę nowych utworów. Ogólnie biorąc „narodnicy" w przeważnej większości byli publicystami, nie zaś artystami. Stworzyli więc dla swych „opowiadań", „szkiców z życia ludu", „obrazków" i t. d. szatę zewnętrzną, która w części była traktatem społeczno-ekonomicznym, w części artykułem wstępnym dziennikarskim, a w ostatniej dopiero linii — nowellą. Stosownie do indywidualności i uzdolnienia artystycznego autora przeważał j e d e n ze wspomnianych trzech pierwiastków. Forma taka z punktu widzenia estetyka nadzwyczaj była wadliwą. Ale odpowiadała duchowi czasu, odpowiadała wymaganiom czytającej publiczności i potrzebom piszących: chodziło tu przedewszystkiem i wyłącznie o to, c o się czytało, lub pisało, nie zaś o to, w jakiej ono podane było postaci.

Utwory „narodników" w pierwszym czasie, t. j. w czasie ich powstawania, chciwie były czytane. Nazwiska ich autorów wszystkim ludziom inteligentnym były znane. Dzisiaj — po latach trzydziestu — gdy zapytamy, który z tych ulubieńców publiczności, trwałej dobił się sławy, to z pewnym smutkiem zauważymy, że z całego owego legionu „narodników" właściwie tylko jedyny jeden dotrwał do dni naszych: Gleb Iwanowicz Uspienskij. Reszta dzisiaj już zapomniana. Ten i ów pozbył się z czasem charakterystycznych cech szkoły „narodników", inni znów złamali pióro autorskie, by w praktyce zastosować zasady, które głosili w teoryi, a największa ich część... zgniła w rotach aresztanckich, przykuta do taczek, lub spoczywa w śniegach syberyjskich. Zwykła to, jak wiadomo, w Rosyi nagroda, za szczerą chęć służenia ludowi.

Wszystkie zalety i wady „narodników" zjednoczył w sobie pisarz niepospolitego talentu i tytan pracy, Gleb Uspierskij. O n to w ostatnich latach mógł być nazwany „narodnikiem" par excellence w literaturze rosyjskiej, gdyż właściwie tylko jeszcze Złotowratski obok niego dobił się znaczenia. Przez ćwierć wieku chodził Uspienskij po ziemi rosyjskiej, jak ona szeroka i długa, — sercem pełnem miłości obejmował niższe warstwy swego społeczeństwa, żaden objaw życia europejskiego nie uszedł jego uwagi. Kto lud rosyjski chce poznać, dla tego pisma Uspienskiego prawdziwą stanowią skarbnicę. Wszystkie bóle i nadzieje swego ludu, jego pragnienie swobody, jego ciemnotę, jego niezgłębioną dobroć serca i szlachetne porywy i... jego barbaryzm, — wszystko to odczuł i przebolał Uspienskij i w dziełach swych złożył.

Kiedy w roku zeszłym rozeszła się wieść o literackiej śmierci Uspienskiego*), zdało się, że szkoła „narodników" w literaturze rosyjskiej należeć będzie do przeszłości.

W styczniu roku bieżącego ukazała się książka, która jednego z najwybitniejszych powieściopisarzy rosyjskich stawia w poczet „narodników". Tytuł tej książki brzmi: „Rok głodowy" („gołodnyj god"), — autorem jej jest W ł o d z i m i e r z K o r o l e n k o.

Naszej publiczności czytającej nazwisko Korolenki nie jest zupełnie nieznane. „Ślepy muzykant" i przełożona przez piszącego te słowa „Legenda poleska": „Las szumi" dały go jej poznać jako głębokiego psychologa i zarazem jako jednego z najznakomitszych romantyków nowoczesnych. Wśród krzepkich, zdrowych, zdumiewających nieraz swą siłą, a nawet brutalnością postaci literackich w Rosyi jest on jedynym dekadentem. Porównaćby go można najstosowniej do Pierre'a Loti. Nowelle jego, — to miłe, słodkie marzenia, zaprawione tylko odrobiną rzeczywistości życiowej. Przeczucia, zawikłane nastroje ducha, to, co w duszy ludzkiej najbardziej jest niejasnem, zagadkowem, to, co leży poza obrębem świadomości, stanowi główną treść jego utworów dawniejszych.

Romantyka i marzyciela bezlitośnie ze snu zbudziła rzeczywistość. Nieurodzaj w r. 1892, obejmujący zaledwie kilka gubernij olbrzymiego państwa, dzięki nieudolności administracyi nędznej komunikacyi, spodleniu moralnemu urzędników, rozpowszechnionemu w najwyższych sferach rządzących złodziejstwu i bezwzględnemu sobkostwu, zamienił się wkrótce w straszną ogólną klęskę narodową. Z głodu wymierały całe wsie i miasta, jakkolwiek ogół nie szczędził ofiar. Uważano państwo rosyjskie za olbrzyma niezrównanego pod względem siły i zapasów życiowych; nagle drobny wypadek, jakim istotnie był jednorazowy nieurodzaj w kilku guberniach, olbrzyma tego ukazuje w niemowlęcej niemocy! Ogół ludzi myślących, zastraszony z początku rozmiarami klęski, później ze spokojem zabrał się do bądania jej przyczyn.

Korolenko zebrawszy od dobrych ludzi tysiąc rubli, które rozdzielić miał pomiędzy potrzebujących najbardziej pomocy, opuścił w końcu roku 1892 Niżnij-Nowgorod i udał się w strony najbardziej dotknięte głodem. Celem tej podróży było prócz wyżej wspomnianego zadania praktycznego, zebranie o ile możności jak najobfitszego i autentycznego materyału z życia ludu wiejskiego, wyświetlającego przyczyny zarówno niespodziewanej, jak zastraszającej klęski narodowej.

Praca ta, polegająca na bezpośredniem obcowaniu z ludem zajęła Korolence trzy miesiące; owocem jej jest dziełko p. t. „gołodnyj god", które autor skromnie nazwał „notatkami z podróży". W rzeczywistości jest ona znakomitem studyum, z którego czerpać może zaró-

*) Zamknięto go w zakładzie obłąkanych.

---

cie, z walizką podróżną w ręku. W niebieskim mroku przedświtu stary nie mógł rozpoznać rysów jego twarzy, ale tamten posunął się o krok naprzód i wymówił cicho, z niewysłowioną słodyczą:

— To chyba ojciec...

Stary Cedryna, głucho szlochając, wyciągnął ramiona i ogarnął przychodnia długą, czułą, nienasyconą pieszczotą ojcowską.

Potem zaczął go forsownie ciągnąć do pokoju, bełkocąc pojedyncze sylaby wyrazów urwanych i połkniętych razem ze łzami. Wydarł mu z rąk walizkę, rozpiął palto, wystawił ze szafy na stół wszystkie butelki z octem, z naftą, z terpentyną i gorzałką, szukał kieliszka w stosie rzemieni i żelastwa, leżącym w kącie izby, i ciągle dygocącemi usty mruczał:

— Pisał... do Anglii... do miasta...

Doktór Piotr wodził za starcem załzawionemi oczyma i nie mógł przyjść do słowa. Nareszcie pan Dominik oprzytomniał:

— Ziąbłeś, — co? — zapytał, nakrywając oczy dłonią, jakby patrzał pod słońce.

— Nie...

— Ale — gadanie! Zaraz ja w piecu napalę.

Skoczył ku zapieckowi i począł wyrzucać suche drwa na środek pokoju. Zaczerwieniony i zziajany kładł je później do pieca.

— Niech ojciec da pokój — przerwał mu młody doktór — tu ciepło. Jabym się, szczerze mówiąc, przespał trochę.

— Święta prawda niespodziewany cymbał ze mnie starego. Malec jechał cały świat!... Chodź, przyniesiemy sofę, mam jeszcze naszą zieloną sofę — wiesz... zieloną...

Weszli do sąsiedniej, zimnej izby, zawalonej przeróżnymi statkami i rupieciami i przydźwigali do pierwszej starożytną familijną sofę z wierzchem ruchomym.

Pan Dominik rozpostarł na niej swoją pościel i ułożył syna do snu. Sam, zabawnie wykręcając nogi, aby stąpać na palcach, wyniósł się z mieszkania. Zaledwie doktór Piotr przyłożył głowę do poduszki, zapadł w senne marzenie, jakie jest skutkiem zmęczenia się długotrwałą jazdą w wagonie. Powieki mu się kleiły, ale nie dawał mu zasnąć mocny jakby nieustający trzask dzwonków elektrycznych, utajony w nerwach. Na niezliczonej ilości stacyi kolejowych dzwoneczki te biły za szybami wagonu głosem cichym, przeszywającym, natarczywym i okrutnym, aż zaczęły dzwonić w uchu bez przerwy. Zdawało mu się, że wciąż trwa jeszcze ostatnia, a trzecia z rzędu noc, spędzona w wagonie. Drzemie nie pod strzechą ojcowską, lecz w wązkim przedziale, z głową opartą o drżącą drewnianą ścianę. Słyszy jeszcze łoskot kół, bijących w końce szyn, skróconych od mrozu, gdy pociąg gnał na północ od Oderberga — i to ponure dudnienie skostniałej ziemi, co głucho stęka pod szynami: — to ja, to ja, to ja... Widzi do tej chwili pod przymkniętemi powiekami nagi, rozłożysty, nieobeschły krajobraz, jak go zobaczył wtedy, przycisnąwszy twarz do szyby, — tę pustynię, przywaloną zaspami. Daleko w wielkiem świetle księżyca słabo czernieją chłopskie chałupy. Długim szeregiem stoją na widnokręgu — het-het... W piersi wędrowca bije nie jego własne męskie serce, co już złudzeń przebolało tyle, ale serce dziecka, dostępne dla dawno minionych trwóg i boleści. Jak kolec tarniny przebija je dziecięcy żal, czy wielka skrucha i wylękłe usta szepcą:

— Panie, nie jestem godzien...

Pan Dominik powrócił na paluszkach, niosąc wiązkę suchych szczap, i począł palić w piecu. Doktór, jak przez mgłę, widział jego zgarbione plecy i siwą, krótko przystrzyżoną czuprynę. Chwilami wydawało mu się, że ta droga głowa usuwa się i niknie, pozostawiając po sobie tylko duży cień, przełamany na ścianie i suficie. Morzył go przerywający, płochliwy sen... Kiedy się znowu na pół przebudził, przed piecem siedział, jak poprzednio, starzec, twarzą zwrócony do ognia.

(Dokończenie nastąpi).

wno socyolog i ekonomista, jako też etnograf i badacz „filozofii“ ludowej.

Z tego, co powiedzieliśmy o szkole „narodników“ i o rodzaju twórczości poetyckiej Korolenki, łatwo czytelnik poweźmie wyobrażenie o literackiej wartości nowego utworu. Przeważa w nim pierwiastek artystyczny. Całe bogactwo oryginalnych poglądów na lud, na ustrój społeczny, na stosunek wsi do miasta, na stosunek inteligencyi do ciemnego, barbarzyńskiego chłopa, cała nieprzebrana ilość trafnych spostrzeżeń psychologicznych ukazuje nam się w wykwintnej formie artystycznej, której najprzedniejszą ozdobą są cudowne opisy przyrody, przeplatające tu i owdzie „notatki z podróży“. Książka czyta się jak powieść interesująca. Osnowę jej stanowi opis kilku głośnych łajdactw urzędników rosyjskich. O łajdactwach tych, np. o wysłaniu z Petersburga wielkich zapasów zboża, które na miejsce przeznaczenia przybyły w postaci miechów, napełnionych trocinami, pisała swego czasu prasa codzienna. Nie będziemy więc powtarzali tych rzeczy. Nie są one też ani główną zaletą książki, ani główną jej treścią. Stanowią one tylko podstawę, niejako pretekst do głębokich refleksyj myślącego człowieka i do barwnych obrazków z życia ludu rosyjskiego, skreślonych przez wytwornego poetę. Artysta i badacz sumienny połączyli najlepsze swe siły, by stworzyć dzieło pierwszorzędnej wartości.

Ze wszystkimi znakomitymi płodami ducha rosyjskiego książka nowego „narodnika“ to ma wspólnego, że odkłada się ją z nieokreślonem jakiemś uczuciem smutku i ciężkiej zadumy. Bo i od niej mimowoli wieje rozpaczliwa groza niewoli i ucisku....

Paweł Styczyński.

Polka w ciągu bieżącego stulecia.

V.

Kwestya kobieca w epoce pozytywizmu.

Po roku 1863 warunki naszego życia społecznego uległy radykalnym zmianom, wywołanym z jednej strony przez smutne następstwa powstania, z drugiej przez zbawienną w zasadzie, lecz w opłakany sposób przeprowadzoną reformę — uwłaszczenie włościan. To, o czem porzednio marzyły wszystkie gorące serca i myślące głowy, do czego dążyli ludzie pragnieniem ogólnego dobra ożywieni, — urzeczywistnionem zostało nie przez nas, nie wedle naszej myśli i z jak największą dla nas moralną i materyalną stratą. Uwłaszczenie nie oparte na zasadach sprawiedliwych, nie przeprowadzone podług rozumnego, konsekwentnego planu zrujnowało bardzo wielką klasę narodu, nie zapewniając równocześnie drugiej dostatecznych korzyści, rzuciło zarzewie wiecznej niezgody między dwór i gromadę pod postacią uciążliwych służebności, zostawiło pole szerokiej rusyfikacyjnej agitacyi komisarzy włościańskich i wyrodziło nieufność między obdarowanymi chłopami, a uszczuplonymi w prawach swych właścicielami większej posiadłości. Równocześnie konfiskaty, kontrybucye, poprzednie na rzecz narodowej sprawy ofiary pogrążyły kraj cały w głębokim materyalnym upadku i zmusiły naród do wytężenia sił wszystkich w pracy dla utrzymania bytu. Rozczarowano się do zbrojnych ruchów, odczuwając głęboko ich zgubne następstwa; gorączkowe wybuchy okazały się bezpłodnym i kraj wyniszczającym wysiłkiem — wołano więc, aby odrodzenie narodu oprzeć na pracy pokierowanej wiedzą, aby zyskać dla niego podstawę materyalną i jak najszerszą oświatę.

Potępiono marzycielstwo i egzaltacyę, chorobliwe uwielbienie przeszłości ustąpić musiało przed trzeźwym na sprawy narodu poglądem i rozumną dla jego przyszłości pracą. Ponieważ najciężej dającem się odczuć cierpieniem była bieda — najgoręcej upragnionym celem stał się powszechny dobrobyt, że zaś najwięcej szkód krajowi przyniosły zaślepienie i ciemnota — najogólniej wielbioną potęgą stała się wiedza. — Gdy te ideje w umysłach światlejszych przebłyskiwać poczęły, zbudził się wśród młodzieży nowy prąd, któremu słusznie, czy niesłusznie miano pozytywizmu nadano. Młodzi garnąć się zaczęli do źródeł oświady zachodu, pracę umysłową, nabywanie naukowych wiadomości uznali jako najpilniejszą społeczną potrzebę, olbrzymi postęp w naukach przyrodniczych dokonany w ciągu XIX wieku wzbudził ich zachwyt, a pod wpływem dzieł znakomitych zagranicznych myślicieli — przypuszczano szturm do wszystkich twierdz i portów, w których obwarowały się zastarzałe przesądy i ciemnota. — W tej epoce właśnie kwestya kobieca wystąpiła na arenie publicznych dysput, rozpraw i walk, jako jedna ze spraw żywotnych i doniosłego znaczenia.

Przyczyny, które ruch umysłów w tym kierunku wywołały, bardzo łatwo zrozumieć się dadzą. Przewrót ekonomiczny, którego doznało nasze społeczeństwo, dotknął ciężej świat kobiecy niż męzki, gdyż oprócz wymienionych wyżej czynników materyalnego upadku, oprócz odsunięcia Polaków od wielu zajmowanych urzędów, na słabszą połowę narodu spadła jeszcze jedna materyalna klęska: szanse zamążpójścia spadły do minimum.

W społeczeństwie, w którem małżeństwo uznano jako jedyny prawie zawód kobiety, jako konieczny jej obowiązek, przez spełnienie którego prawa nietylko do jakiegolwiek stanowiska, lecz wprost do życia, do utrzymania bytu zyskiwała, gdy wychowanie jej całe skierowanem było wyłącznie do zdobycia odpowiednich do tego jedynego zawodu kwalifikacyj, — fakt ten istotnie był materyalną klęską i wtrącał znaczną część kobiet w przepaść nędzy, poniżenia lub upadku.

Przez jakiś dziesiątek lat po powstaniu ilość mężczyzn bezżennych, będących w wieku odpowiednim do małżeństwa była niesłychanie małą; i wtedy i później jeszcze znaczna część tych, którzy pozostali lub dorośli — znalazła się w położeniu utrudniającem zawarcie małżeńskich związków, co w połączeniu z przewagą liczebną kobiet nad mężczyznami, przewagą spotykaną zresztą w większości europejskich krajów, skazywało liczny zastęp kobiet na życie samotne, na podjęcie walki o byt na własną rękę, walki przerażająco trudnej wobec faktu, że wychowanie ani wykształcenie żadnymi prawie nie uzbrajało je środkami. Nawoływanie do zajęć domowych i rodzinnych obowiązków było gorzką ironią wobec tego, że tylko szczęśliwe zrządzenie losu mogło spełnianie tych obowiązków możliwem uczynić. Nareszcie poziom umysłowy i moralny kobiet podniósł się o tyle, że małżeństwo dla chleba uważały za to, czem jest istotnie, tj. za sprzedawanie się legalne — ale nie mniej poniżające. Po za małżeństwem istniało wprawdzie kilka zawodów dla kobiety dostępnych, w tych jednak spotykały się z przepełnieniem, doprowadzającem cenę ich pracy do minimum — nie wystarczającego nawet na podtrzymywanie sił do wykonania jej potrzebnych, i tu wreszcie współzawodniczyć musiały z pracą mężką bez porównania lepiej płatną, bez względu na jej wartość. (Do takich zawodów należało nauczycielstwo i krój damski.)

Ludzie myślący, którzy się nad tą stroną życia narodu zastanawiali, nie mogli pozostać obojętnymi na cierpienia liczebnie większej jego części. Pogląd ich na sprawę tę oświetlała i ta jeszcze okoliczność, że świeżo byli świadkami wypadku, który najniższe nawet warstwy społeczeństwa wyzwolił z zależności prawnej od warstw wyższych, wobec czego położenie kobiet było jedynym już faktem poddaństwa wśród cywilizowanych instytucyj europejskich. — Istotnie, do obecnej chwili jedyną istotą, którą urodzenie same skazuje na prawną zależność od drugich i usuwa od sprawowania funkcyj i wykonania prac, do których mogłaby okazać się zdolną, jest kobieta.

---

3)

Nowocześni pogromcy narodu polskiego i jego przeszłości w literaturze historycznej.

(Ciąg dalszy.)

Oba te twierdzenia odnoszą się do zapadłego na sejmie r. 1768 porównania główszczyzny kmiecej ze szlachecką i dają należytą miarę sumienności p. Kariejewa. Autor traktujący w licznych swych dziełach tak obszernie o stosunkach polskich zdaje się nie wiedzieć wcale o tem, że prawo polskie nigdy nie uznawało zasady bezkarnego zabijania osób stanu kmiecego. Istniała w Rzeczypospolitej, jak wiadomo ogólnie wszystkim, główszczyzna, — wymierzana za zabójstwo, z tą wprawdzie różnicą, iż zabójstwo kmiecia, stosownie do pojęć ówczesnych, mniejszą pociągało za sobą karę, niżeli zabójstwo szlachica.*)

Uznawano atoli niesprawiedliwość główszczyzny kmiecej od lat bardzo dawnych i na długi czas przed epoką wtrącania się Rosyi w sprawy polskie podwyższano ją stopniowo: uczyniono to za Batorego na sejmie w r. 1581, za panowania zaś Zygmunta III na sejmie roku 1631 podniesiono główszczyznę kmiecą do stu grzywien. Zkąd inąd w kraju takim jak Polska, w którym miejcowi publicyści wespół z kaznodziejami nieustannie w wieku XVI, XVII i XVIII poruszali kwestyę niesprawiedliwości społecznych urządzeń i potrzebę naprawy takowych*) idea nieodzownego zreformowania główszczyzny kmiecej nie tylko mogła, lecz musiała się z konieczności stać własnością przeważnej większości ogółu szlacheckiego. Temu tylko jedynie można i należy przypisać ostateczne zrównanie główszczyzny kmiecej z szlachecką dokonane na wniosek Jabłonowskiego na sejmie warszawskim r. 1767–68, aczkolwiek odbytym pod gwarancyą rosyjską i upamiętnionym zkąd inąd smutnie samowolą Repnina. Gwarancyi tej nie chodziło bynajmniej o zmiany kardynalne ustroju praw Rzeczypospolitej, przeciwnie zaś jak o tem p. p. Kariejew i Kojałowicz wiedzą dobrze, w interesach jej leżało podtrzymywanie we wszystkiem poprzedniego systemu i to do takiego stopnia, że na podniesiony na owym sejmie projekt uwolnienia poddanych Repnin za nic nie chciał się zgodzić, protestując stanowczo przeciwko podobnej reformie. Przeszło zatem na samo tylko porównanie główszczyzny i jedynie z tego powodu, że ówczesny reprezentant interesów rosyjskich, nie upatrywał w tej kwestyi nic znaczącego. Sprawa ta go nic nie obchodziła wcale, dla tego też nie oponował uchwale dotyczącej główszczyzny kmiecej. Czy wobec tych okoliczności może być na seryo mowa o popieraniu przez Rosyę ulg dla włościan na sejmie r. 1768?

P. Kariejew nie robi sobie żadnego skrupułu z dowolnego przekręcenia faktów historycznych tak samo, jak nie uważa za potrzebne przytaczać wiernie słowa cytowanych przez się autorów. Zdania tych ostatnich zmienia on w sposób dla siebie dogodny, nie dbając bynajmniej o rzetelność cytaty. Czyni tak najczęściej z autorami, których

*) Dodać tu należy, iż na ogromnej przestrzeni krajów Rzeczypospolitej stanowiącej W. Ks. Litewskie od czasów trzeciego Statutu Litewskiego, wydanego w r. 1588, zabójstwo chłopa pociągało za sobą, w moc prawa, — nie główszczyznę, lecz karę śmierci.

*) Żałujemy mocno, iż ramy niniejszego artykułu nie pozwalają nam obszerniej rozwinąć przedmiotu, o którym napomykamy.

Dla umysłów postępowych i zgodnie z duchem XIX wieku miłością wolności przejętych, ten stan rzeczy jest tak rażącą anomalią, tak sprzeciwia się wszelkim zasadom logiki i sprawiedliwości, iż opór przeciw reformie w tym kierunku jedynie tylko wtedy pojąć można, gdy weźmiemy na uwagę, iż ona osobiście ograniczyłaby tych wszystkich, w których ręku wyłącznie możność przeprowadzenia reform spoczywa, tj. mężczyzn. Żaden moralny, ani rozumowy błąd nie usprawiedliwia tego faktu, — poparciem jego jest wyłącznie interes osobisty. Zanim prądy nowych, liberalnych poglądów przeniknęły do nas, Europa zachodnia dawno już zajmowała się niemi, to też i kwestya kobieca wcześniej tam poruszoną została, a głównym jej rzecznikiem był najznakomitszy może z ówczesnych myślicieli zachodu John Stuart Mill.

Był on także jednym z tych, których dzieła najliczniejszych wśród młodzieży znalazły czytelników i wielbicieli. Książeczka jego „o poddaństwie kobiet" tłomaczona na wszystkie prawie europejskie języki, wywarła ogólnie silne bardzo wrażenie, wywołała wiele sporów i dysput, a jeśli w ostatnich dziesiątkach lat prawne i ekonomiczne położenie kobiety w wielu europejskich krajach się poprawiło, to przypisać to można w znacznej części temu dziełku, co potwierdza fakt, że Anglia jest obecnie krajem, w którym (nie licząc Stanów Zjednoczonych) kobietom najwięcej praw przyznano.

Mill domaga się równouprawnienia kobiety w imię sprawiedliwości i w interesie ogólnego dobra. Dowodzi on, że trwałość praw na jej niekorzyść ustanowionych jedynie ztąd pochodzi, iż ci, którzy posiądą władzę dzięki swej sile fizycznej, rzadko ją z rąk wypuszczają, chyba, że są do tego zmuszeni przewagą swoich przeciwników, siła fizyczna zaś nie mogła się znaleźć po stronie kobiet. „Historya znów dalej uczy nas, że o tyle szanowano życie, własność i szczęście pewnej klasy ludzi, o ile obronić je mogła sama". Przeczy on także, aby istniejący porządek społeczny odpowiadał naturze obu płci, gdyż dowodzi, iż w obecnych warunkach nikt natury mężczyzn ani kobiet zbadać nie mógł w braku odpowiednich doświadczeń. Nie widziano jeszcze ani społeczeństwa z mężczyzn, ani z kobiet wyłącznie stworzonego, nie widziano też nigdy społeczeństwa, w którem kobiety nie byłyby mężczyznom poddane: gdy więc nie doświadczono dotychczas żadnego innego ustroju, nie można utrzymywać, aby ten, który istnieje miał być najlepszym. — Twierdzi on, iż charakter obecny kobiety jest wynikiem sztucznej, ku jednemu wyłącznemu celowi skierowanej hodowli, czem zaś jest jej istotna natura, o tem bezwarunkowo dzisiaj nikt najlżejszego nie może mieć wyobrażenia, a poznać ją możnaby tylko wtedy, gdyby jej dano rozwijać się w tych samych warunkach, w których rozwija się i wychowuje druga połowa rodu ludzkiego. Uważa dalej, że zbyteczną jest rzeczą zabraniać kobiecie tego, czegoby jej natura czynić nie dozwoliła; można być o to spokojnym, że gdy jej damy wolność zupełną, nie będzie czyniła nic innego nad to, „co jej natura wskaże." „Ludzie nie potrzebują prostować przyrody z obawy, aby nie chybiła swego celu." — Tym, którzy chcą zmuszać kobiety do małżeństwa, zamykając im inne drogi, odpowiada, iż widocznie mężczyźni nie czynią małżeństwa pożądanem dla kobiety, jeśli przypuszczają, iż bez tego przymusu nie dałyby się do tego nakłonić. „Nie podnosi to wartości ofiarowanej rzeczy, gdy podając ją mówimy: „„Weź to, albo nie dostaniesz nic innego."" Nie sądzi on jednak, aby mężczyźni istotnie obawiali się, iż w razie otwarcia innych zawodów, unikałyby one związków małżeńskich, przypuszczają tylko bardzo słusznie, iż zażądają równości w małżeństwie.

Jeżeli więc despotyzm ze wszelkich innych stosunków ludzkich wykluczony ma być istotnie jedyną podstawą rodziny, to obawy ich zapewne wykluczone nie są, — „gdyż mało kobiet zdolnych do jakiejkolwiek pracy, zechce przyjąć los tak upokarzający."

Rozbiera on w ogólnych zarysach położenie prawne kobiety w małżeństwie, wykazuje przez porównania, iż jest ono gorszem niż położenie prawne niewolników, a choć przyznaje, że warunki życia kobiet są w większości wypadków znacznie lepsze, niż stańby się mogły zgodnie z ustawami, bynajmniej to na korzyść tych ostatnich nie przemawia. Istotnie nie można chyba poczytywać za obronę danego prawa — faktu, iż ono prawie nigdy wykonywanem nie bywa. Prawa nie są ustanawiane dla dobrych, tylko dla złych. „Nie byłyby one nigdy ulepszane, gdyby uczucia wielu osób nie były więcej warte, niż istniejące prawa."

Najniesprawiedliwsze nawet ustawy nie przeszkodzą szlachetnemu człowiekowi być dobrym mężem, ale to nie wystarcza, powinny one przedewszystkiem przeszkadzać złym ludziom być złymi mężami, a położenie kobiet jest jedynem, w którem nawet po skonstatowaniu krzywdy, ofiarę pod władzę krzywdziciela oddają.

Mill domaga się zatem dopuszczenia kobiet do wszystkich zawodów na tych samych zasadach co mężczyzn, t. j. pod wykazami odpowiednich kwalifikacyj, reformy wychowania kobiety i otwarcia dla niej wszystkich tych źródeł wiedzy, z których korzystają mężczyźni, — oparcia instytucyi małżeństwa na podstawach wolności i sprawiedliwości, które przyjęto za normę we wszelkich społecznych stosunkach, wreszcie przyznania jej praw politycznych. — Co do tego ostatniego mówi: „Powinno to być jasnem dla tych nawet, którzy nie podzielają żadnej z bronionych tutaj opinij. Gdyby wszystkie kobiety miały być żonami, a wszystkie żony niewolnicami, tem konieczniejsze byłoby nadanie im prawnie utwierdzonego środka obrony; wiemy bowiem, jakiej opieki oczekiwać mogą niewolnicy, gdy prawa stanowione są przez ich panów".

Nie poprzestając na dowiedzeniu, że reforma położenia kobiety jest nieodzownem wymaganiem logiki i sprawiedliwości, wykazuje jeszcze, iż jest ona koniecznością postępu, warunkiem szczęścia i rozwoju płci obu. — Obecny stan rzeczy demoralizuje zarówno kobietę jak mężczyznę, tak jak każda niewola demoralizuje zarówno poddanego jak władcę, więcej jednak władcę niż poddanego. „Póki prawo silniejszego rządzi samem sercem ludzkości, trzeba będzie staczać bolesne walki, ile razy na równości oprzeć zechcemy stosunki społeczne" — mówi Mill. — Podniesienie więc ogólnego poziomu moralnego uważa jako pierwszą korzyść reformy. Drugą byłoby zdaniem jego zdwojenie się sił umysłowych ludzkości przez spożytkowanie tych zdolności, które marnują się w umysłach kobiet. Jeżeli zdolności te są różne od męzkich, to korzyść ta zwiększa się jeszcze, gdyż czynności ludzkie tak są rozmaite, iż rozmaitość uzdolnień powołanych do nich osobników gwarantowałaby tem szczęśliwszy wybór. — Nie na tem jednak ograniczają się spodziewane dobrodziejstwa. Wpływ kobiet na mężczyzn jest niezaprzeczony, choć nie mają one w ręku żadnej władzy. Wobec spaczonego wychowania kobiety, utrzymywanej sztucznie w stanie umysłowej niedojrzałości, przez ścieśnianie zakresu jej wykształcenia i życiowych doświadczeń, przez usuwanie jej od wszelkich spraw publicznych i zamykanie jej umysłowego widnokręgu w czterech ścianach domowych, wpływ jej tylko zgubnym być może. Kobieta nie może zrozumieć, odczuć, ani podzielać dążeń mężczyzny pominąwszy wyjątkowe kobiety, to też we wszystkich sprawach po za zakres rodziny wychodzących, staje się ona dla niego kulą u nogi i wpływem swym obniża jego poziom moralny i umysłowy. Ciasnota jej pojęć odbija się w postępowaniu męża, przywiązywanie wagi do drobiazgów krępuje jego wolność, a wszystko to staje na przeszkodzie istotne

---

dzieła przeczą jego przewodniej myśli. Sam tłomacz, pomimo pochwał dla p. Kariejewa w swej przedmowie, zwraca w swych przypiskach w niejednem miejscu uwagę na błędne i fałszywe przytoczenie przez autora obcej cytaty.

Dowolność ta zastanawia szczególniej i zaznaczoną jest przez tłomacza przy znajdującym się w książce rozbiorze dzieła Korzona: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta."*)

Rzeczywiście metoda przyjęta przez p. Kariejewa w rozpatrywaniu historyków polskich ostatniej doby jest ze wszech miar ciekawą i zajmującą. Mówiliśmy już, że w ogóle, z rozpatrywanych przez się dzieł starał się zebrać te jedynie cytaty, które w jakikolwiek bądź sposób służyć mu mogły do wyciągnięcia wniosków na niekorzyść społeczeństwa polskiego. Rzecz naturalna, że przedstawiciele tak zwanej „szkoły krakowskiej" przejmują go, rzec można, zachwytem prawdziwym. Zasługi p. Bobrzyńskiego, jako głównego działacza „szkoły," podnoszone są po nad wszystko prawie, co ze strony polskiej kiedykolwiekbądź zostało napisanem „Dla całkowitego przedstawienia — powiada on — rozwoju ewolucyi politycznej w Polsce bardzo doniosłe znaczenie posiadają takie ogólne zarysy historyi Polski, jak książka profesora Bobrzyńskiego," **) Dawniejsi historycy, opisując ostatnie czasy Rzeczypospolitej, byli przedewszystkiem patryotami — mówi w innem miejscu ***), — u których na pierwszym planie przeważało uczucie, podczas gdy dzisiejsi chcą być przedewszystkiem prawdziwymi uczonymi, dążącymi do prawdy przedmiotowej."

Jak wiadomo p. Kariejew rozbiorowi książki Bobrzyńskiego poświęcił większą część swego dzieła wydanego pod tytułem: „Nowiejszaja polskaja istorjografja." Równe uznanie ma on zarazem dla Szujskiego, o którym mówi atoli w swem dziele pobieżnie na dwóch stronnicach *); nie zaznaczając bynajmniej wybitnej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy nim a p. Bobrzyńskim; różnica ta przecież istnieje i ma znaczenie poważne, jakkolwiek bowiem i Szujski uległ w swym czasie doktrynerskiemu obłędowi „Stańczykostwa," wolnym był atoli od zapędów akrobatyzmu historyozoficznego, od wszelkiego naginania faktów do idei postawionej z góry, od narzucania odległym pokoleniem planów stosowania się do polityki bieżącej doby i od rozmyślnego plamienia i piętnowania przeszłości hańbą; przeciwnie uczucie miłości dla narodu i gorąca troska o jego przyszłość widnieje z jego dzieł namacalnie i nie jest wcale pokrytą pustemi i czczemi frazesami. Nie zrywał on i nie miał myśli zrywać z przeszłością jakkolwiek z wielu względów smutną i przykrą. Oczywista rzecz przeto, iż z tego rodzaju historykiem p. Kariejew mało mieć może wspólnego i powołanie się jego nań w książce, o której mowa, jest w większej mierze chęcią zaliczenia Szujskiego do unicestwiaczy bytu Polski, aniżeli zamiarem dokładnego roztrząśnięcia jego stanowiska w rzędzie polskich historyków.

Obszerny ustęp książki p. Kariejewa poświęcony jest Kalince i jego pracom. W licznych cytatach z jego dzieł czerpanych znajduje p. Kariejew usprawiedliwienie swego własnego na rzeczy poglądu. Przedstawia Kalinkę jako założyciela „szkoły" krakowskiej**) przejętego dążnościami „otrzeźwiania" narodu,***) nie zwraca atoli uwagi na to, że Kalinka należy właśnie do liczby historyków patryotów, u których na pierwszym planie przeważało uczucie i którzy z tego powodu, jak to się okazuje ze słów p. Kariejewa przez nas wyżej przytoczonych, nie mogą być wzorem uczonych dążących do prawdy przedmiotowej. Zarazem pomija też p. Kariejew milczeniem wszystko to, co Kalinka

*) L. b. str. 348 i 349,
**) L. c. str. 367.
***) str. 283 i 284.

*) str. 60 i 61.
**) L. c. str. 310.
***) str. 303.

między małżeństwem duchowej spójni, będącej warunkiem moralnego odrodzenia ludzkości. — Nietylko umysłowe lecz i prawne upośledzenie kobiety mści się na mężczyźnie. „Umysł czynny i energiczny będąc pozbawionym wolności, szuka władzy, a zamiłowanie wolności i miłość władzy zostają w wiecznym ze sobą antagoniźmie.“ Ci, którym wzbroniono kierować własnemi sprawami, chętnie mięszają się do spraw cudzych. Ztąd pochodzi w kobietach dążność do opanowania mężczyzny, ztąd zamiłowanie stroju i zbytków. Zdanie powszechnie znane: „My rządzimy światem a nami kobiety“ przestałoby być obrazem rzeczywistych stosunków, gdyby kobietom samym sobą rządzić dozwolono. — Rządy ich obecne bywają zgubne, gdyż kierują sprawami, o których nie mają pojęcia, samodzielność przyniosłaby tylko zbawienne owoce, gdyż zużytkowałaby ich siły w kierunku, w którym z natury rzeczy są najkompetentniejszemi.

Z tak postawionej kwestyi wynikałoby, iż równouprawnienie kobiety jest zarazem warunkiem — wyzwolenia mężczyzny.

Jak już wspomniałam, poglądy Milla zyskały u nas wielu zwolenników i zwolenniczek. Echa ich brzmiały długo w prasie warszawskiej, odzywały się w licznych rozprawach i artykułach zarówno przez mężczyzn jak i przez kobiety pisanych. Naturalnie spotykały się i z oporem ze strony przeciwnych poglądów, że nie natrafiły jednak na poważniejsze zarzuty, którychby Mill nie przewidział, zastanawiać się nad nimi nie ma potrzeby. Pod wpływem wywołanego w tym kierunku zainteresowania ukazało się u nas dzieło, traktujące obszerniej sprawę przez Milla poruszoną: książka E. Prądzyńskiego „O prawach kobiety“. Dzieło to jednak mimo wielu dodatnich stron, mimo szlachetnej tendencyi i ciekawego materyału faktycznego bezwarunkowo mniejsze od pracy angielskiego myśliciela miało znaczenie. Ustępuje mu pod względem ścisłości, logiki i jasności argumentacyi, jest zarazem mniej śmiałem, konsekwentnem i radykalnem, a mimo to i mniej przekonywającem niż „Poddaństwo kobiet“. Przedewszystkiem zaś równie popularnem zostać nie mogło choćby przez to, co może właśnie jego wielką stanowi zaletę: Dotyka śmiało bardzo drażliwej sprawy, dwojakiej moralności, dla obu płci różnej. Mimo to i „Prawa kobiety“ zyskały dość licznych zwolenników.

Teorye Milla, a nawet i teorye Prądzyńskiego powoli rozpowszechniać się zaczęły wśród ogółu, praktycznych jednak korzyści mało przyniosły kobiecemu światu, po prostu dla tego, że stanowienie praw nie w naszej było mocy. — Wszystko, co kobiety na polu pracy zarobkowej i oświaty zdobyły, zawdzięczają one u nas nie szlachetnym swym obrońcom, lecz same sobie. Położenie ich prawne nie poprawiło się wcale, rzuciły się jednak do pracy; gdziekolwiek się dla nich jakieś źródełko wiedzy otworzyło, spieszyły czerpać z niego. Zabierając głos we własnej sprawie mniej ogólnikowo — więcej zaś praktycznie ją pojmowały, a nie dysputując o tem, czy należy lub nie należy oświecać i usamowolnić kobiet, zbierały skrzętnie wiadomości o otwierających się dla niej drogach pracy lub źródłach nauku i zachęcały się wzajemnie, aby z nich korzystać. Zakładały szkoły rzemieślnicze i zyskiwały dla nich zatwierdzenie, chwytały się różnych zawodów, czasem o głodzie i chłodzie zdobywały naukę, a przyzwyczajając oczy ludzkie do zarobkującej kobiety oddziaływały na opinię publiczną i zyskiwały powoli rozszerzający się zakres pracy. Wszystko to osiągnęły z wielkim trudem mimo niezliczonych przeszkód, o jakich ani mężczyźni, ani kobiety w wolnych żyjące narodach pojęcia mieć nie mogą. — Dziwić się więc nie można, że w porównaniu z kobietami zachodniej Europy osiągnęły bardzo niewiele.

J. Moszczeńska.

Szkoła i wychowanie.

O niektórych błędach i wadach w wychowaniu naszej młodzieży.

Kwestya wychowania młodzieży jest kwestyą bytu dla każdego społeczeństwa i dla tego niepomierną zasługę zjednał sobie wasz Sulla, dotykając śmiałem piórem sprawy wychowania naszych „cór wyższych.“ Tryumfy jego, — tryumfalnym pieniom równają się bowiem w moich oczach namiętne inwektywy, których stał się przedmiotem, — nie dają mi spokoju i pobudziły we mnie myśl, nie wiem czy zbyt szczęśliwą, uzupełnić jego wywody, dzieląc się z myślącą częścią naszego społeczeństwa kilku uwagami, jakie mi nasunęło bliższe zetknięcie z naszą młodzieżą męzką i sferami jej wychowawców, jak w ogóle bliższe i serdeczniejsze zajęcie się niesłychanie ważną sprawą jej wychowania. Przytem zastrzegam z góry, iż poprzestanę na tej krytycznej części mej pracy, na przedstawieniu faktycznego stanu rzeczy, nie chcąc powiększać onego nieprzejrzanego szeregu projektodawców, którzy u nas wyrastają, jak grzyby po deszczu i na wszelkie niedomagania, jakie się pojawią w naszym schorzałym organizmie społecznym, jakiś niezawodny specyfik mają pod ręką.

Uwagi moje odnosić się będą przeważnie do praktycznego wychowania młodzieży naszych warstw wyższych i to z następujących powodów:

1) mniemam, iż nasze warstwy wyższe przy niedostatecznem jeszcze wyrobieniu stanu średniego u nas i na życie duchowe społeczeństwa wywierają wpływ o wiele większy niż gdziekolwiek indziej i pociągają je zarówno w złem jak w dobrem o wiele łatwiej do naśladownictwa niż gdzieindziej. Fałsze i błędy zatem w przyjętym przez nie sposobie wychowania synów i córek odbijają się też u nas z tego właśnie powodu wpływem o wiele fatalniejszym na c a ł e j młodzieży niż gdzieindziej.

2) zdaje mi się, iż o racyonalnym sposobie wychowania młodzieży jedynie wśród tychże warstw wyższych może być mowa jako tych, które mają i czas i środki po temu. Gdzie bowiem „z troską człowiek rano wstaje, z troską kładzie się,“ gdzie ojciec i matka dniem i nocą myśleć muszą o tem, aby rodzinie nie zabrakło chleba powszedniego, tam wychowanie dzieci schodzi na plan drugi, a w pierwszej linii występuje kłopot o ich wyżywienie. Właściwie wychowanie dziecka odbywa się tu zatem więcej przypadkowo pod działaniem otaczających je stosunków domowych i publicznych, zwyczaju narodowego, przekonań religijnych i t. p. Że zaś w szeregu tych więcej przypadkowych czynników wychowawczych, wpływających na ukształtowanie umysłowego rozwoju dziecka klas niższych, przykład, idący z góry, od jego zamożniejszych i niezależnych rówieśników, nie ostatnie zajmuje miejsce, o tem zdaje mi się nie potrzeba z osobna mówić. Zwłaszcza gdy dziecko ludu, jak się to w naszych czasach politycznej równości często dzieje, zasiada na jednej ławce z swym socyalnie wyżej postawionym kolegą, przejmuje się ono wpływem jego towarzyskiego wykształcenia więcej niż się na pierwszy rzut oka wydaje i wnosi te bezwiednie od niego nabyte pierwiastki usposobień w życie późniejsze.

O sprawach wychowania naszej młodzieży rozwodzi się od czasu do czasu w artykułach nader niesmacznych i pomimo swej pretensyonalności nader płytkich nasza „poważna“ prasa z „Dziennikiem“ i „Kuryerem“ na czele. Po większej części rąbie ona na prawo i na lewo niezbitymi argumentami z pedagogiki, estetyki i filozofii moralnej, iż całemu nieszczęściu, całej coraz jawniej widniejącej nędzocie naszej nowszej generacyi winna szkoła i tylko szkoła. Nie

---

wypowiedział przeciwko, jak się wyraża „najwybitniejszemu ze swych adeptów“ t. j. Bobrzyńskiemu, czyniąc o tem w swej książce zaledwie pobieżną wzmiankę.*)

W rzeczywistości charakter Kalinki gorący, niespokojny i nieświadomy dróg, po których miał kroczyć, nie nadaje się w zupełności do chłodnej i spokojnej obserwacyi dziejowej.

Zrywając ze światem i przechodząc do zakonu, nie znalazł w zawodzie duchownym należytego uspokojenia i pod wpływem miotających nim wewnętrznych wstrząśnień powrócił do pracy świeckiej w zakresie dziejowym, wnosząc do niej zarazem pierwiastek kapłański z wybitnem znamieniem uczucia. Obrał sobie z góry tezę, że obecne położenie Polski i jej nieszczęścia są zasłużoną przez naród p o k u t ą za błędy i grzechy przodków, którzy sami są winni upadku Polski i jej rozbioru — tezę zaś tę a priori postawioną starał się usprawiedliwić w dziele wydanem w r. 1868 i noszącem tytuł: „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta.“ Pomimo niepospolitych zalet dziejopisarskich, których zkądinąd Kalince odmawiać bynajmniej nie myślimy, ani też nie mamy zamiaru, wyznać musimy, iż wszelkie z góry postawione misye kapłańskie na polu historyi, będące niczem innem, jak tylko wynikiem uczucia, wpływać muszą z konieczności na spaczenie sądu i dziejoznawczej krytyki. Jeżeli metodę kapłańską w ocenianiu spraw dziejowych będziemy uważać za usprawiedliwioną, natenczas dojdziemy do najrozmaitszych wniosków subjektywnych wręcz z sobą sprzecznych i wzajemnie się znoszących. W Biblii np. spotykamy w wielu miejscach ideę pokuty ludów za grzechy poprzednich pokoleń, mamy atoli w niej zarazem obraz ludu wybranego przez Boga i umiłowanego, który w okresie dziejowym Starego Testamentu, pomimo, iż nie zatracił prawdy mu objawionej, przechodził przez najstraszniejsze, jak tylko sobie można przedstawić, koleje nieszczęść, niewoli, a nawet całkowitej zatraty dziesięciu pokoleń. Ów nieszczęśliwy przebieg dziejowy Izraela dał znowu pochop innym wybitnie uczuciowym pisarzom polskim do twierdzenia, że naród polski, ulegający w swym dziejowym przebiegu tylu okropnym klęskom, jest, podobnież jak naród Izraela, wybranym przez Boga dla ogłoszenia w przyszłości światu nowej prawdy społecznej. Pojęcia mesyanizmu spotykają się więc na tem polu z ideą pokuty, której wyobrazicielem był Kalinka, przecząc sobie wzajemnie, jakkolwiek biorą wspólne źródło w tradycyach biblijnych i noszą na sobie znamię kapłaństwa w dziedzinie historyozofii. Natomiast w życiu dziejowo-społecznem występuje na jaw jedna wielka prawda religii objawionej — ta mianowicie, że, jak wszyscy ludzie wzięci z osobna, tak też i wszystkie społeczeństwa ludzkie, pokutują w ogóle za grzech pierworodny, niemasz bowiem na świecie i nie było narodu, któryby się czuł szczęśliwym i któremu słusznie taka nazwa mogłaby się należeć w jakimkolwiek chociażby najwyżej posuniętym okresie lub stadyum chwały państwowo-narodowej; każde zaś społeczeństwo, jak przekonywają dzieje, we wszelkich dolach swego istnienia targane jest bądź nieszczęściami spadającemi nań z zewnątrz, bądź też wewnętrznymi rozmaitymi prądami chorobliwymi lub zarodami onych, naruszającemi jego spokojne istnienie. Wobec tej wielkiej i niezaprzeczalnej prawdy, istotą dziejoznawstwa i dziejopisarstwa może być tylko śledzenie warunków życia, wśród których dane społeczeństwo się znalazło i objaśnienie faktów w naturalnym ich przebiegu bez odwoływania się do religijnych idei pokuty lub namaszczenia na męczeństwo, o czem nieposiadając atrybucyi Opatrzności, wyrokować nie możemy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

*) L. c. str. 310.

wyjmuję ją zupełnie z pod wszelkiej winy i naszej dzisiejszej szkoły*) Owszem, przyznaję, iż ma ona swe wielkie niedostatki, jak tego zresztą dowodzi gwałtowna polemika ze strony społeczeństwa niemieckiego przeciwko dzisiejszemu ustrojowi szkół wyższych w Prusiech i podejmowane raz po raz reformy. Ale jeżeli nam Polakom zaboru pruskiego na wszelkich wyższych polach działalności ludzkiej, w polityce, naukach, sztukach, uczuwać się daje brak wielki wybitnych ludzi, jeżeli w życiu publicznem panują bezmyślność i bezradność, to winy tego zasmucającego zjawiska nie tyle w wadliwym ustroju szkoły, ile w nas samych szukać należy. Jakkolwiek bowiem szkoły nasze dalekiemi są od doskonałości, są one, jak na nasze stosunki, dość dobre, aby w nich młodzież nasza przy dobrej chęci mogła się czegoś nauczyć. Ale niestety, tego pierwszego warunku wiedzy i postępu, tej chęci nauczenia się czegoś na pożytek społeczeństwu, a sobie na chwałę młodzież nasza stanów wyższych, salvis exceptionibus, zbyt mało ze sobą przynosi. Przychodzi ona nader często nie po to, aby się czegoś nauczyć, ale by liznąć nauki. Dla niej bowiem nauka to nie cel sam w sobie, ale środek otwierający podwoje salonów i torujący drogę do zaszczytów i hołdów, których już dzisiaj w tym naszym przewrotnym świecie nowoczesnym bez pewnej minimalnej dozy wykształcenia dojść niepodobna. Więc cóż począć?

Minęły czasy szczęśliwej prostoty.

Uczyć się trzeba, minął już wiek złoty. Ale to uczenie, wymagające, jeżli ma być skutecznem, ofiar, poświęcenia i zaparcia samego siebie, męczarni się staje dla tego, kto w niem nie szuka wewnętrznego zadowolenia, lecz widzi w niem złe nieuchronne.

Tak tedy częstokroć liznąwszy tu i owdzie wiadomości i wiadomostek, mogących posłużyć do zakrycia przerażających pustek serca i głowy, i dobiwszy się w najszczęśliwszym razie abituryenckiego świadectwa, nasz przyszły „obywatel“ dopełnia braków swego wychowania na innej drodze. Udaje się najpierw do Berlina, Wrocławia i Lipska i tutaj zapisawszy się w poczet studentów rolnictwa lub prawa i kameraliów, w podziw wprawia Niemców wyszukanością swych manier. Mieszka w najnobliwszej części miasta, raz po raz zajrzy do uniwersytetu, a kiedy niekiedy w napadzie popularności, raczy się także pokazać pomiędzy drugimi współstudentami minorum gentium. Służbę wojskową odbywa w jednym z najnobliwszych pułków kawaleryjskich i wraca do domu jako skończony młody człowiek, o którym najwybredniejsze ciocie z dumą powiedzieć mogą, iż „on jest dobrze.“ Nadszarpany majątek łata się w danym razie przez bogaty ożenek i ot ideał skończonego obywatela, jakiego nam w stosunkach naszych potrzeba, gotowy. Tak nie bywa zawsze, ale tak bywa często, o! bardzo często.

Inaczej nieco przedstawia się bieg obywatelskiego wykształcenia tam, gdzie nadwątlona fortuna ojca na tę żmudną i kosztowną edukacyę nie pozwala. Wtenczas bowiem rokujący takie nadzieje młodzieniec, — oficyalnie prasa nasza w tych sferach innych nie zna, — wyszedłszy z sekundy lub prymy przebywa czas jakiś akademiach rolniczych w Hali, Wrocławiu, Gryfii, a potem bez wielkich korowodów wchodzi in medias res — i w którémkolwiek z towarzystw, w których się uprawia nieśmiertelny frazes, mówką inauguruje swą obywatelską działalność. Naturalnie, cokolwiek kiedy powie lub pomyśli, to jest mniej lub więcej bezwiednym oddźwiękiem frazesów, jakich mu w iście zadziwiającej obfitości podsuwa nasze gazeciarstwo. I myśli współczesnej nie posuwa u nas ani o jedne milionową część milimetra. Nie przeszkadza to jednakże bynajmniej, iż po latach kilku, młodzieniaszek, pozbawiony nawet zdolności samodzielnego myślenia, obiera się posłem i staje jedną z kolumn walącego się społeczeństwa. I stąd to po większej części pochodzi, iż zarówno w życiu jednostek jak w życiu społeczeństwa nieśmiertelna blaga płaszczem Deianiry przyrosła nam do skóry i że wśród dogmatów naszej wiary przysłowie, iż blagą sprawa nasza stoi, zajmie z czasem ono poczesne miejsce, jakie ongi u ojców naszych zajmowało ono paradoksalne przysłowie, iż nierządem rzeczpospolita stoi.

Tak tedy do rzeczywistej, sumiennej pracy, do szczerości i prawdziwości w całem jestestwie młodzieży naszej stanów wyższych popędu zazwyczaj bardzo tylko mało.

Ten rozrost ujemnych pierwiastków w usposobieniu młodzieży naszych warstw wyższych propagowały przed niewielu jeszcze laty zakłady naukowe, stojące w osobliwym odorze patryotycznej świętości. Wstyd to bowiem i żal wyznać, ale prawda pozostanie prawdą, choćby prasa nasza wylać na mnie miała całą czarę swego gniewu, iż właśnie te zakłady, do których masami zbiegała się młódź nasza, pod względem naukowym i wychowawczym stały najniżej. Nauczyciele nasi nie były to w znacznej części one wzniosłe ideały miłości ojcowskiej i godności nauczycielskiej, za jakich ich dzisiaj wydajemy, ale tak sobie, ni lepsi ni gorsi — jak inni, a trafiali się pomiędzy nimi, i to nawet nierzadko, ludzie bardzo realnych pojęć, dla których zawód nauczycielski był intratnym interesem, a trzymanie bogatych pensyonarzy i handel promocyami w tej lub owej formie głównem zajęciem. Dyscypliny szkolnej nie było zazwyczaj żadnej, a i stąd ściągała się do nich młódź ze wszystkich prowincyi monarchii pruskiej. Ich jedyną zaletą było, iż produkowały en masse abituryentów, ale to w znacznej części abituryentów, którzy nie mieli wiadomości tercyanera. Do podniesienia poziomu umysłowego u nas bardzo mało zatem się tylko przyłożyły. Natomiast stały się ogniskiem owej upstrzonej w pozory wykształcenia płytkości umysłowej, która dzisiaj szerokiem korytem rozlewa się w życiu umysłowem naszego społeczeństwa. Do porządku, pracowitości i sumienności nie zaprawiały młodzieży, gdyż porządek i karność szkolna stały w nich na najniższym stopniu. Ów zaś osławiony patryotyzm, jaki kwitł na nich, zasadzał się głównie na krzewieniu onego patryotycznego szurum — burum, które dzisiaj z bujnością chwastu, głuszącego po niem zdrowej myśl, rozpiera się u nas we wszelkich stosunkach. Tam, gdzie zmierzał ku celom konkretnym, tam się przeradzał w system konwencyonalnego kłamstwa, tam na tem polu, na którem nam wówczas władze szkolne zostawiały zupełną swobodę, a przynajmniej swobodę, mogącą uchodzić za zupełną w porównaniu z tem, co nam dzisiaj pozostawiono, tj. na polu pielęgnowania ojczystego języka i ojczystej literatury. Albowiem lekcye polskiego bywały zazwyczaj najnudniejszemi i najwięcej męczącemi dla uczniów i nauczycieli i nieraz strach mnie bierze gdy wspomnę o tem, z jakiem upragnieniem wyczekiwaliśmy ich końca. Był to rodzaj humbugu tem zgubniejszego, iż dotyczył on rzeczy, głoszonych za najważniejsze, i zaprawiał młodociane umysły do sprzeczności z samym sobą, do deklamatorstwa i przywiązywania zbyt wielkiej wagi do zadosyćuczynienia czczym formom i pozorom. Aleć o tem wieleby mówić i chybaby osobny temu smutnemu tematowi poświęcić rozdział.

Innym niemniej ważnym i niemniej powszechnym błędem w wychowaniu naszej młodzieży wyższych stanów jest brak staranności w zaprawianiu tejże do energii ciała i ducha: W cieplarnianej atmosferze, w jakiej od najwcześniejszego dzieciństwa wzrasta często dzieciak majętniejszych rodziców, energia ciała i energia ducha z konieczności wcześnie w nim zamrzeć musi. Albowiem rodzice dla zadań rozsądnego wychowania nie zawsze mają należyte zrozumienie i troskliwość ich o byt dziecka, redukuje się bardzo często do jednostronnej pieczołowitości o jego powodzenie cielesne. Więc przesada i granice rozsądnej miary przechodząca baczność w dyecie, więc chronienie chłopca przed najlżejszym powiewem wiatru i przed przykrością słonecznych promieni, więc otoczenie dzieciaka zgrają sług gotowych na jego skinienie, na których się zaprawia do dogadzania wszelkim swoim kaprysom i do pomiatania niżej postawionymi od siebie. Gorsza o wiele, iż rodzice dla przyszłości dziecka są często obojętnymi i ciężar rodzicielskich obowiązków zwalają zupełnie na płatnych zastępców. Wzrasta bowiem naówczas dzieciak nieomal wyłącznie w otoczeniu swych nianek, bon i guwernerów, garderoby i kredensu i szybko przejmuje się ich wpływami.

A gdybyż przynajmniej w doborze najbliższego otoczenia zawsze należytą zachowywano ostrożność! Aleć wiemy jak się to często dzieje. Bonami i guwernantkami, którym wychowawcze zadanie w tym dla całej przyszłości człowieka tak niesłychanie ważnym peryodzie nieraz zupełnie bywa zleconem, są w dostatnich domach ziemiańskich, bardzo jeszcze często Szwajcarki, Francuzki, Angielki, które ze społeczeństwem naszem i krajem naszym nic nie łączy prócz mniej więcej wysokiej płacy. Przez to zaś, iż w tym ważnym peryodzie życia, kiedy to w człowieku wyrabiają się pierwsze zawiązki indywidualnego charakteru, dzieciak niemal wyłącznie skazany jest na obcowanie z osobą, obcą nam zwyczajami, uczuciami i wyobrażeniami, nie zawiązuje się pomiędzy nim, a jego późniejszem polem działalności i ludem, żaden serdeczniejszy węzeł.

Najboleśniejszym wrzodem w wychowaniu naszej młodzieży majętniejszej jest wczesne zaprawianie do życia nad stan i wpajanie w umysł dziecięcy fumów z faktycznym stanem jego późniejszej fortuny niezgodnych. Ojciec majętny, mający sześcioro dzieci, rzadko kiedy pomyśli o tem, iż po jego śmierci majątek jego rozdrabnia się na sześć części. Zamiast tedy zawczasu przyzwyczajać dzieci do skromności i umiarkowania, otacza je tym zbytkiem, do którego sam przywykł. Co najwięcej zaprowadzi on pewne „oszczędności“ w płacy i wyżywieniu swych sług i pracowników, podczas gdy etat dworu z wzrastającym wiekiem dzieci rośnie w niepomiernej progresyi.

Ta dbałość o zachowanie familijnego splendoru jest jedną z najfatalniejszych stron naszego konserwatyzmu.

A gdybyż przynajmniej choroba społeczna, wszczęta w tych kołach przez fałszywy sposób wychowania, na nich się tylko ograniczała! Ale niestety, cośmy o zaraźliwości przykładu, idącego z góry w naszem moralnie i intelektualnie niedojrzałem społeczeństwie powiedzieli wyżej możnaby stwierdzić szeregami konkretnych przykładów. O tem wszakże może innym razem pomówimy z osobna.

Romuald Łożęga.

*) Rozumie się, iż mówię tu tylko o szkołach dla naszych stanów wyższych przeznaczonych t. j. o szkołach wyższych.

NA WYŁOMIE.

(Pod adresem młodzieży akademickiej.)

W głowie mi szumi rój myśli posępnych i refleksyi smutnych, a oko wpatruje się uporczywie w dwie ćwiartki listowego papieru, które doręczono mi o rannej godzinie. Z przybytków „almae matris“ — z Wrocławia i Berlina — płyną ku mnie dwie gorzkie skargi, a ponieważ znam dokładnie obu korespondentów i ani serc rozszemranych o pesymizm posądzić, ani źrenic analizujących o ślepotę oskarżyć nie mogę, więc listy te stają się dla mnie żałobnym dokumentem w kronice życia narodowego.

„Pytasz o młodzież — pisze do mnie berliński przyjaciel — a ja tu młodzieży szukam napróżno. Spotykam wprawdzie rój ludzi między 20 a 30 rokiem życia na posiedzeniach Towarzystwa naukowego, w kawiarniach studenckich, klinikach i audytoryach, ale młodzieży w naszem pojęciu tu nie ma. Jest garść nurzających się w wielkomiejskich kałużach Epikurejczyków, garść zapracowanych molów-fachowców i wielki, chłodny, bezbarwny tłum młodych filistrów, którzy spijają piwo, flirtują z kelnerkami, grają w preferansa, kolportują brukowe do-

wcipy, w miarę są pilni, w miarę rozbawieni — voilà tout. Niech ci się nie zdaje, że od chwili, gdy opuściłeś ławy uniwersyteckie, młodzież nasza odmłodniała. Ta apatya studencka, na którą skarżyłeś się niegdyś, gdy tobie — „staremu semestrowi“ — zaprezentowano mnie — „lisa“ młodego, — jak chmura ołowiana zawisła nad nami i nic jej nie płoszy. Czasem zdaje mi się istotnie, że młodzież wymarła i zaledwie kilka archeologicznych zabytków tego „pokolenia, które „nad poziomy wylatywało“ tuła się po świecie. Co za przerażająca trzeźwość, jaki oschły utylitaryzm pleni się w około. Gdybyś ty słyszał praktyczne rezonowania młodzieży naszej — to wszystko takie chłodne, ostrożne, cyniczne, — chleb! chleb! chleb! słyszę krzyk przeciągły, — żadnych zapałów i porywów młodzieńczych, — Tytan i Spartakus to szaleńców para. Pytam się czasem, czy to starców grono nie zasiada ław uniwersyteckich, czy jakiś tuman ócz mi nie oślepił?! To może poznańskich filistrów koło przeniesiono żywcem na bruk berliński z piwiarni Duchowskiego. Ale ci filistrzy byli za młodu młodzieżą, nasza młodzież już dziś jest filistrami.“

Tak Berlin do mnie przemówił, a echem wtóruje mu Wrocław.

„Żyję — donosi mi młody przyjaciel — przeważnie w kołach niemieckich i żydowskich, bo mi już czubkiem głowy wychodzi ta przeklęta czczość umysłowa polskiej akademii. Po za fachowem zajęciem, wistem i dziewczyną, nic wśród najmilszych ziomków nie znalazłem. Literatura, sztuka, ewolucya społeczna to u nas istna chińszczyzna, a biszkopciki „Dziennika Poznańskiego“ najmilszą strawą duchową. Wszystko tu płynie starem korytem prowincyonalnego konserwatyzmu, — ta młodzież dawna, reformująca, burząca, rwąca się naprzód, to wszystko należy już do historyi, a kapelmistrzami zaściankowości reakcyjnej, to Poznańczycy niestety. O kierunkach, prądach, ideach, nikt tu nie dysputuje, a jeżeli czasem coś tam się sklei, to takie senne, stare i banalne, takie Dziennikowo-Kuryerowe, że aż litość bierze. Nie ma młodzieży — dixi.“

Więc znowu ta skarga, która od lat kilku pojawia się natarczywie w prasie pruskiego i austryackiego zaboru. Przypuściwszy nawet, że we wszystkich tych lamentach jest nieco mimowolnej lub tendencyjnej przesady, to trudno obronić się przekonaniu, że wśród młodzieży akademickiej pojawiają się coraz wyraźniej znamienne rysy rozkładu. Wszystkie gryzące satyry i alarmujące artykuły, które na temat młodej zgrzybiałości w ostatnich latach publikowano, nie mogą być jedynie racami egzaltowanych lub spekulujących na efekt jednostek, bo właśnie w ich chronicznej natarczywości tkwi gwarancya ich prawdopodobieństwa. Niestety, panoszący się w społeczeństwie naszem system tuszowania wszelkiej zgnilizny przyczynia się i tu poniekąd do rozwoju choroby, zagrażającej przyszłości narodowej. Dzienniki nasze udzielają wprawdzie gościny artykułom na temat skarłowacenia młodzieży, ale wypruwają im jelita, obcinają ręce i nogi, zaopatrują w sceptyczne komentarze lub zamieszczając niebawem jaką namaszczoną obronę „godności akademickiej“, odmawiają oskarżycielowi „ostatniego słowa“. Honor rzeczypospolitej uratowany. Obrońcy młodzieży — zwykle synowie „naszych znanych“ i zasłużonych stróżów opinii publicznej — stąpają dumnie w poczuciu odniesionego tryumfu, lub cytując słowa bajki deklamują z ironicznym uśmiechem:

„Ledwie żaba się ozwała
Wnet kamieniem w łeb dostała.“

A biedny krytyk, który zuchwałą ręką odsłonił rany niebezpieczne i w dzwon ogniowy uderzył, może dębom i bukom wyśpiewać replikę swoje, bo poważna prasa zawarła dla niego podwoje swoje, powtarzając stereotypowe finale: „Na tem zamykamy dyskusyą, wyrażając radość serdeczną, że jeszcze duch zdrowy nie zamarł w polskiej młodzieży.“

W taktyce powyższej szukać należy jednej z przyczyn poważnych, dla których szeroka publiczność nie zdaje sobie dokładnie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Ponieważ sympatye prasy są stale po stronie „tuszujących“ i ostatnie słowo służy zawsze „obrońcom“, zatem oskarżenie nabiera w oczach przeciętnego czytelnika charakteru potwarzy, a społeczeństwo śpi sobie dalej spokojnie. Nadomiar wegetuje na gruncie poznańskim pewne czasopismo, które swojego czasu z powodu skarg na senność, ciasną fachowość i przejrzałość młodziczy naszej, oświadczyło gorliwie, że dumni być możemy z tak trzeźwych i praktycznych synów, którzy zamiast bujać po niebiosach, gonić ideały niepochwytne i ssać truciznę reformacyjnych zachcianek, pilnują książki i chleba.

O! ślepoto reakcyjna, która z księgi stworzenia, chciałabyś skreślić wszechmocnem „Stań się“ skrzydła młodzieńcze i orły w krety zamienić! Ty czujesz dobrze, że prawem natury młodzież właśnie to wróg twój zacięty i dla tego dziś tryumfujesz, że w inspektach swoich wyhodowałaś sobie sztuczną anomalję: młódź zfilistrzałą. Ty serca gorące chciałabyś zmienić w maszynę nakręcaną przez organistów swoich, a mózg w skład suchych, tradycyjnych formułek; Ty zapał młodzieńczy, który urtartym szlakiem stąpać nie umie i nowe drogi ludzkości wskazuje, lubisz piętnować pogardliwem mianem romantyzmu: ty pod skrzydłami almae matris pieścisz prawników, lekarzy, profesorów, inżynierów, ale młodości, która po za granicznym słupem zawodu skrzydła swoje rozwija, lękasz się jak wroga. Zamykaj ją w klatce fachowości, warstwą popiołu zduś iskry płomienne, hoduj w sztucznej atmosferze kwiaty bez woni, i tresuj młodzież zgrzybiałą! My nad anormalnym typem młodego pokolenia rąk nie załamujemy w beznadziejnej rozpaczy, bo ufamy silnie, że natura prędzej czy później o prawa swoje się upomni, a wspierać ją, o ile sił starczy, to nasze najgorętsze pragnienie. Wiemy z doświadczenia, że owa słynna „trzeźwość“ młodzieńcza jest zwiastunem oschłości i sobkostwa, wiemy, że z tych młodych żółwiów okutych w pancerz utylitaryzmu i jednostronnej fachowości, rodzą się z czasem starcy — samoluby, wiemy wreszcie, że najwznioślejsze duchy ludzkości i najdzielniejsi pracownicy narodów niegdyś sokolem skrzydłem urągali błękitom, „z posad bryłę świata“ wyrzucić pragnęli i rwąc się ku słońcu z opalonemi skrzydłami spadali w proch ziemi.

Z tych krwawych zapasów, zachwytów, porywów zawodów, marzeń i uniesień młodości zabrali on w krainę lata i jesieni życiowej snop jasnych promieni, które odtąd już całą ich działalność oświecają. Minęła wiosna i wiosenne burze, lecz w tej duszy, gdzie one szalały, został jakiś powiew świeży, nieco bzów i słowiczych śpiewów na zawsze. Biedni ci wszyscy, którzy wiosny życia nie znali. Żółwie za młodu mułami będą na starość.

Więc się nie dziwcie młodzi przyjaciele, że w poważnej trzeźwości, w suchym utylitaryzmie, w jednostronnej pracy dla chleba i nieruchomym konserwatyzmie, do których tak sztucznie zaprawić was pragną, ja ani pożytku dla narodu, ani szczęścia dla was samych nie widzę. Szumcie, reformujcie, walczcie, wyciągajcie ręce ku słońcu, kochajcie i nienawidźcie całą potęgę młodzieńczego serca. Młodość i starość to dwa przeciwne bieguny, które wzajemnie się regulują, a z nich rozwija się jedynie normalny postęp ludzkości. Obowiązkiem starego konserwatyzmu poskramiać światoburcze zapędy młodzieży, ale nikt nie ma prawa garbić jej systematycznie i przymioty starości gwiazdą i kwiatem wiosennej pory mianować. Młodzi! bądźcie młodymi!

Sulla.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O PRAWDĘ.

Berlin 31 maja.

W przedostatnim numerze „Przeglądu Poznańskiego“ zamieszczoną została korespondencya, zawierająca opis obchodu rocznicy 3go maja urządzonego przez Towarzystwo Naukowe w Berlinie. Jeżeli teraz dopiero występujemy z odpowiedzią, to pochodzi to ztąd, że chcieliśmy się upewnić co do zapatrywań ogółu młodzieży akademickiej na ową korespondencyę.

Co się tyczy pierwszej kwestyi poruszonej przez szanownego korespondenta, mianowicie niewłaściwości t. zw. wesołej części (fidulitas) przy obchodach narodowych, to nie mamy zamiaru rozwodzić się nad nią szerzej. Jest to po pierwsze rzeczą zapatrywań osobistych, po drugie zaś winniśmy i tak wdzięczność szanow. korespondentowi, że nie wyczerpał całego arsenału używanych w podobnych razach melancholicznych refleksyj i szumnych wykrzykników. Mógł był przedewszystkiem powiedzieć, że wszelka głośna wesołość nie przystoi nam pozbawionym bytu politycznego, mógł był przytoczyć z emfazą znany ów frazes „sclavus saltans“ i t. d. i t. d., mógł był udowodnić jak na dłoni, że nawet podczas radosnych obchodów, do jakich chyba obchód uroczystej rocznicy Trzeciego Maja się zalicza, poważne fałdy namaszczenia nie powinny zejść ani na chwilę z czoła młodzieży, że... ale nie „wydawajmy się sami.“ Mógł, — a nie uczynił tego — dzięki mu i za to.

Nie możemy jednak w żaden sposób przyjąć w milczeniu drugiego zarzutu, który się tyczy wygłoszonego na uroczystości odczytu; gdyby bowiem można dać wiarę słowom korespondenta, to 70 przeszło uczestników obchodu byłoby albo bezmyślnymi ignorantami, albo też w najlepszym razie „naiwnie gorącemi sercami,“ a świeżością swoją i oryginalnością tak pociągające twierdzenie szan. korespondenta, że „niczego się nie nauczyliśmy, niczegośmy nie zapomnieli“ przekonywająco byłoby udowodnionem. Długośmy w osłupieniu podziwiali skromność szan. korespondenta, który całej młodzi akademickiej w Berlinie z trójnoga swej nieomylności takie zarzuty w oczy cisnął — a dla czego? dlatego, że śmiano przyklaskiwać prelegentowi, który rzekomo miał zająć stanowisko odmienne od Szujskiego i Bobrzyńskiego!!

Więc „dysonansem“ i „fałszywą nutą“ ma być podług światłego korespondenta każde zdanie, które ślepo za owym kierunkiem nie idzie?! Drukująca się dziwnym trafem równocześnie w „Przeglądzie Poznańskim“ rozprawa p. Snitki dowodzi jeśli niczego innego, to tego choćby, że dyskusya nad poglądami Bobrzyńskiego nie jest bynajmniej jeszcze zamkniętą, i że owe, jak je nazywa szan korespondent: „najnowsze wyniki badań“ (które już od przeszło 20 lat są znane) wcale jeszcze dogmatu nie stanowią. Ale tu bynajmniej o to nie chodzi, gdyż szczytne swe deklamacye szan. korespondent z dziwną zaiste lekkomyślnością oparł na zdaniach, jakich się prelegentowi nie śniło ani wygłaszać ani bronić.

Trzy czwarte rozprawy miał poświęcić prelegent wykazaniu, „że konstytucya nie przyszła za późno:“ zarazem ubolewa korespondent nad „bezkrytycznością“ takiego zapatrywania, „bo w historyi nie ma „gdyby,““ i dalsze stąd wnioski wysnuwa. Gdyby tak rzeczywiście było, to bylibyśmy zniewoleni uderzyć się w piersi i przyznać się do wszystkich tych cnót i przymiotów, jakich w nas szan korespondent swym dziwnym darem spostrzegawczym się dopatrzył, bo chcieć dowodzić, że konstytucya nie przyszła za późno, byłoby to samo, co twierdzić, że Kościuszko pod Maciejowicami nie został zwycięzonym. Jeżeli jednak prelegent w dwóch trzecich swej rozprawy skreślił nam jasno

i dobitnie obraz wszystkich usiłowań w kierunku reformy począwszy od nieszczęśliwego Jana Kazimierza, jeżeli starał się dać nam obszerny pogląd na trudności i przeszkody stawiane tej reformie, jeżeli dalej oddał cześć rozumowi politycznemu ówczesnych patryotów, a nakoniec na bardzo pochwytne wskazując czynniki, im właśnie przysądził w dość wyraźny sposób rolę „fatum“ pielęgnującego anarchię, fatum, które szan. korespondent, lubiący widocznie frazesy, gwałtem wniósł do odczytu — prelegent nie lubujący się w tego rodzaju zwrotach nie użył nigdzie głębokiego tego wyrazu. — jeżeli mówimy, w ten sposób prelegent swoją rozprawę opracował, to dał tem samem odpowiedź na pytanie: dla czego konstytucya nie przyszła rychlej, dla czego przyszła dopiero w r. 1791 do skutku. Na te ostatnie pytania chciał prelegent dać odpowiedź; — tak go zrozumieli wszyscy słuchacze; wyjątek, jak widzimy, stanowi szan. korespondent.

Nie było tam mowy o „identyfikowaniu owych reformatorów z całym tłumem samolubnego społeczeństwa,“ przeciwnie, wszystkie przeszkody, które im stawiali zwłaszcza wielcy magnaci wraz z ślepo im oddanym gminem szlacheckim, które spowodowały spełżnięcie szlachetnych zamiarów na niczem, zostały dokładnie wymienione — wszystko to byłby usłyszał autor korespondencyi w odczycie, gdyby był zechciał więcej skupić uwagę.

A już prawdziwą zagadką jest dla nas, gdzie właściwie prelegent bronił tego, „co się nie da ani obronić, ani uniewinnić.“

Na takiej to podstawie dowolnie wyrwanych i przekręconych cytatów mówi korespondent o „bolesnym policzku, wymierzonym poważnej historyi krytyce ostatnich lat dwudziestu,“ i nie waha się napiętnować publicznie w ten sposób młodzieży akademickiej berlińskiej.

(Tu opuszczamy kilka nieparlamentarnych wyrazów. Przyp. Red.)

Odczyt, o którym mowa, bardzo gładki i udatny pod względem formy, a opracowany z nowego i mało znanego punktu widzenia, trzymał przez godzinę przeszło na uwęzi uwagę słuchaczów i wywołał nietylko żywe oklaski ale i specyalne wyrazy wdzięczności dla prelegenta; dodać zaś mogę, że w obec nieuzasadnionej napaści (trudno inaczej tę korespondencyę nazwać) na prelegenta, postanowiło Towarzystwo na wniosek prezesa jeszcze raz podziękować mu za podjętą pracę.

(Zakończenie, zawierające osobiste inwektywy opuszczamy. Przyp. Red.)

Prawdomówny.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 29 maja.

(Wspaniałe wystąpienie Krakowa na wystawie krajowej. — Archiwum miejskie. Strejki. — Pieczołowitość rządu. — Pomnik Mickiewicza.)

Świetnie się Kraków spisał! W ubiegły wtorek dyr. Rotter, przewodniczący miejscowego komitetu wystawy krajowej zwołał ostatnie ogólne posiedzenie wszystkich członków komitetu, ażeby zdać sprawę z tego, co się zrobiło i jak się zrobiło w sprawie tak żywo ogół obchodzącej, bo przecież kraj cały ma zadokumentować swój postęp, pochwalić się przed obcymi swą pracą i patryotyzmem. Na 165 członków było w chwili otwarcia posiedzenia zaledwie 21, — później jeszcze 11 maruderów przybyło. Z osobistości wybitniejszych zaledwie parę ukazało się na sali; nie było ani prezydenta, ani wiceprezydenta miasta, z radców miejskich czterech tylko dozwoliło oglądać swoje oblicza, z arystokracyi nie było nikogo, z redaktorów pism tylko jeden i to ćwierćredaktor, z członków izby handlowo-przemysłowej nikogo, z zamożniejszych kupców, przemysłowców i rękodzielników wszystkiego dwóch. To daje już dostateczny obraz jak sprawa wystawy przyjęła się na naszym gruncie. I nie dziwiły też ztąd bynajmniej cyfry przedłożonego sprawozdania. Z całego Krakowa zapowiedziało udział zaledwie 82 wystawców, a jeżeli wyłączymy z nich jeszcze takich, „co Boże zmiłuj się“ (n. p. 11 aptekarzy z proszkami, pigułkami, koniakiem i wodą kolońską), to wystawców na seryo można liczyć około 50, to znaczy, mniej, niż ich będzie z takiego Stanisławowa, lub Przemyśla. A trzeba wiedzieć, że i ta liczba została sztucznie zdobytą, bo gdyby nie 10,000 złr. pożyczki udzielonej przez wydział krajowy 33 wystawcom, to prawdopodobnie tych 23 usunęłoby się od udziału w wystawie. Po złożeniu szczegółowego sprawozdania z działalności i zabiegów komitetu, z którego dowiedzieliśmy się między innemi, że JE. Biliński nie raczył zniżyć wystawcom ceny biletów kolejowych (bodaj to ekscelencyerodacy! — od powietrza, głodu, ognia i od nich zachowaj nas Panie!), zapytał p. Rotter, czy kto z obecnych nie żąda głosu. Ogólne milczenie. Później złożono sprawozdanie finansowe do najwyższego stopnia zaszczytne dla Krakowa, gdyż suma pieniędzy zebranych na cele wystawy wynosi w Krakowie aż (proszę się nie przerażać wielkością sumy) 888 złr.! Zważywszy, że Rada miejska raczyła wyasygnować 300 złr, pozostanie summa 588 złr., to jest nieco więcej, jak po pół centa od każdego z mieszkańców naszego miasta. Brała mnie chęć zapytać się ile osób i w jakich kwotach złożyło się na tę kolosalną sumę, której zbieraniem zajmowały się przez pół roku oprócz 165 członków komitetu, rozmaite poważne instytucye, zakłady i stowarzyszenia. Ale ogólne milczenie, poważna cisza wśród zebranych, wstrzymały mnie od tej niebezpiecznej ciekawości. Znowu nikt nie zabrał głosu, a więc odczytano z kolei, w jaki sposób rozdzielono fundusz pożyczkowy. „Czy żąda kto głosu?“ pyta pan Rotter. Cisza. „Na porządku dziennym są zatem wnioski członków — mówi dalej pan Rotter — kto sobie z panów życzy głos zabrać?“ Milczenie ogólne. „Dziękuję panom za zebranie się“ — kończy przewodniczący i wstaje. Wstajemy i my, kłaniamy się i odchodzimy z błogiem uczuciem, jakie daje przeświadczenie o sumiennem wypełnieniu przyjętych na się obowiązków.

Niedawne te czasy, kiedy archiwa miejskie uważano, wprawdzie nie wszędzie, ale przeważnie za stos papierów, przydatny jedynie do owijania powideł i masła. Nie o wiele lepiej traktowały stare papiery zarządy miasta Krakowa. Jak było za czasów Rzeczypospolitej krakowskiej, nie wiem, ale, to wiadomo, że w parę lat po jej zabraniu prawem kaduka przez Austryą, znaleziono w lochach wieży ratuszowej (miłe schronienie!) zbiór ksiąg i dokumentów miejskich głęboko w średniowiecze sięgających. Zaopiekowali się nim początkowo Ambroży Grabowski i Zygmunt Helcel. Przed kilku wreszcie laty Rada miejska uchwaliła uporządkować archiwa, wyznaczyć lokal i stały zarząd. Dyrektorem archiwum jest dr. Stanisław Krzyżanowski, skromny a uczony badacz. Pod jego nadzorem porządkuje się archiwum, uzupełnione kilku innymi zbiorami, a należące dziś do najbogatszych archiwów kraju. Ze sprawozdania zarządu za rok ubiegły, dowiadujemy się, że porządkowano w dalszym ciągu akta krakowskie i kazimierskie; z tych ostatnich wydzielono bardzo ciekawe księgi testamentów od r. 1543 do 1648, oraz inwentarze z tego samego okresu. Do grup aktów komisyi cywilno-wojskowej z r. 1791, aktów wojskowych i aktów publicznych przybyły nowe liczne tomy z zebranych dotąd luźnych fascykułów. Prócz tego zarząd czynił dalsze starania, ażeby przy archiwum utworzyć zbiór rzeczy drukowanych, tyczących się historyi Krakowa, budynków i instytucyj miejskich. Przeznaczony na to fundusz przez Radę miasta jest zbyt mały, przeto zarząd archiwum odwołuje się do ofiarności publicznej. O tę samą ofiarność uprasza i dla tworzącego się „Muzeum miejskiego krakowskiego“, które posiada już 109 przedmiotów. Nie idzie tu wreszcie o same darowizny, bo zarząd z chęcią przyjmuje przedmioty w depozyt, przez co niczem nie uszczupla praw właścicieli, a udostępnia oglądanie ich osobom miejscowym i przejeżdżającym.

Zmowa (strejk) czeladników piekarskich zakończyła się szczęśliwie i dla czeladników i dla panów majstrów. Czeladnicy otrzymali słusznie im się należące podwyższenie płacy i zmniejszenie godzin, a panowie majstrowie nic nie stracili, bo odbili się na konsumentach, zmniejszając wagę pieczywa. Groźniejsza wybuchła przed kilku dniami zmowa robotników przy cegielniach, czyli tak zwanych strycharzy. Prawie we wszystkich cegielniach naokoło Krakowa, a jest ich około 20, albo całkiem zaprzestano robót, albo odbywa się ona w mniejszych rozmiarach. Wyjątek stanowią cegielnie p. Schöna, w których robotnicy pobierają 3 złr. od tysiąca wyrobionej cegły W innych cegielniach płaca ta wynosi tylko 2 złr., a właściciele prócz tego zmuszają robotników do ponownego odrabiania cegieł zepsutych przez deszcz, wskutek niedostatecznej przed nim ochrony przez samych właścicieli. „Bastujący“ (ładny wyraz zbogacający nasz język) usiłują przeszkadzać pracującym towarzyszom, a nawet zgromadziwszy się przy rogatkach krakowskich chcieli zatrzymać fury, wiozące cegły do miasta. Władza stara się pogodzić obie strony, ale z trudnością jej to przyjdzie, gdyż właściciele cegielni zgadzają się jedynie na drobniejsze żądania robotników, ale nie chcą im podwyższyć płacy. Jeżeli podwyższą, pójdą zapewne za wzorem panów piekarzy i będą się odbijali na budujących kamienice, a ci znowu odbiją się na publiczności podwyższeniem czynszu. Najgorzej zawsze na tem wszystkiem wychodzi tak zwana inteligencya, bo coraz drożej płaci za wszystkie konieczne potrzeby. Przed dwoma laty, podczas nieurodzaju, a co za tem idzie drożyzny, zdecydował się „wysoki rząd“ dać zapomogę urzędnikom w kwocie pół miliona: na każdego z nich przypadło przeciętnie po 5 złr., o które musieli do tego jeszcze podawać prośby, a pieniądze dostali.... po roku. Wzruszająca ta pieczołowitość rządu świeżo w innym wystąpiła kierunku. Przez kilka lat zapowiadano powiększenie personalu urzędników sądowych, niezmiernie przeciążonych pracą. Możemy gromko krzyknąć: Alleluja! bo obietnica ziszczoną została. W Krakowie grono sądowe powiększy aż jeden radca i jeden sekretarz, w zachodniej zaś Galicyi zamiast 85 t. zw. płatnych auskultantów będzie ich 88!

I dziennikarze otrzymają od rządu podarunek w reformie ustawy prasowej. Reforma ta to czyste drwiny. Rząd nie znosi stempla, który istnieje jedynie w Austryi, nie pozwala dalej na sprzedaż gazet po ulicach, co wolno nawet w Rosyi, nie usuwa i tak zwanej objektywki, która pozwala pierwszemu lepszemu prokuratorowi konfiskować pismo według swego „widzimisię“. Cała reforma polega na tem, że będzie zniesioną kaucya. Że nie ma ona sensu, to pewna, ale jest najmniejszem złem z całej ustawy prasowej, bo nie ma wypadku, aby kiedykolwiek choć część jej przepadła, a z drugiej strony, kto zakłada pismo codzienne, a nie ma nawet na złożenie kaucyi, temu żadnej przyszłości rotować nie można. Ułatwi się więc tylko zakładanie pisemek bez wartości, bez nadziei do życia, da się pole rozmaitym rewolwerowym pismakom do szantażu, na czem szkodę poniosą tylko dzienniki poważne. Taki podarunek wywołuje mimowoli słowa: timeo Danaos et dona ferentes.

N. Reforma doniosła, że figura Mickiewicza do jego pomnika na rynku krakowskim już nadeszła. Wiadomości tej nie powtórzyły inne dzienniki i (obym się mylił!) nie ciąży na nich wina ukrywania faktu. Tyle terminów na przysłanie do Krakowa tej figury oznaczono i tyle razy każdy termin okazywał się bajką, że się już zaczyna tracić wiarę, abyśmy kiedykolwiek ujrzeli to dzieło rzeźbiarskie p. Rygiera. A gdyby nawet nadeszło, to i tak nie będzie końca z pomnikiem, bo brakuje jeszcze jednej grupy alegorycznej do wykończenia całości. Za to pomnikiem Mickiewicza cieszą się już od paru tygodni . . . . . w Drohobyczu.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LITERACKA.

— Zofja Kowerska. Irena, powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1894. str. 287.

Jest to powieść, napisana według dzisiejszej mody, t. j., powieść psychologiczna. Autorka nie pierwszy raz tego rodzaju powieści próbuje, z taką samą bowiem powieścią psychologiczną była wydana przed trzema laty jej „Rózia.“ Autorka celuje w odtwarzaniu charakterów kobiecych; jej postacie męskie stoją zwykle na drugim planie i są dość niewykończone. W „Rózi“ mamy Mieczysława pantofla i Władysława panicza salonowego, bez silnej woli; za to dwie postacie kobiece są pełne energji i siły: jedna w złem, druga w dobrem. W „Irenie“ mamy toż samo; młody malarz Jan jest to chłopak i dobry i zacny, ale jak ćma lecący do światła miłości i dający sobą powodować. Drugi mężczyzna, Eugenjusz, człowiek dojrzały i stateczny, zdaje się nawet rozumny, a jednak znosi kaprysy pięknej Ireny, pozwala jej igrać z sobą i swojem uczuciem. Za to nadzwyczaj serdeczną, miłą i sympatyczną jest Cesia, a bohaterka powieści, Irena, zdaje się być ze stali wykutą. Jest piękną i zimną; bogata, otoczona wielbicielami, do 34 roku nie znała, co to jest miłość. Instynktywnie czuła jej potrzebę i zakochała się wreszcie w ubogim, słabowitym, dwudziestoletnim malarzu. Gniewa ją to, duma jej nie może znosić upokorzenia, ale prawa serca odzywają się coraz silniej. Ta walka pomiędzy dumą arystokratycznej, bogatej i pięknej panny, a miłością jej do artysty, jest rzeczywiście interesującą i dobrze przeprowadzoną. Sama mu oświadczyła się w gwałtownym wybuchu i natychmiast odtrąciła go szorstko. Chcąc zerwać z marzeniami, oddaje rękę Eugeniuszowi. Ale walka nie ustała — sama goni za malarzem, odnajduje go i ma się mu już rzucić w objęcia, kiedy znów duma rozrywa kochanków, lecz tym razem już na zawsze. Zakończenie trochę melodramatyczne. Na życzenie autorki, owa serdeczna Cesia, siostra Ireny znajduje się prawie nagle w niebezpieczeństwie życia. Irena błaga Boga o jej wyratowanie, a wzamian ofiaruje mu zrzeczenie się miłości. Wątpić należy, ażeby Pan Bóg wdawał się w podobne układy. Cesia wyzdrowiała; z zimnej, dumnej, niekochającej jeszcze niedawno nikogo Ireny, ma się stać pomocnica Cesi w opiekowaniu się ludem, służącymi... Irena nie pójdzie już ani za Władysława, ani za Eugenjusza, a szkoda, jeżeli to prawda, że była taką piękną, jak ją opisuje autorka. Powieść, mimo pewych niekonsekwencyi i czułostkowego zakończenia, jest bezsprzecznie interesującą, jako utwór utalentowanego pióra. *K. Łar.*

* * *

— Klemens Junosza: Pająki, obrazek z życia warszawskiego. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1894.

Do literatury menażeryi ludzkiej przybył świeży nabytek w książce Junoszy o „Pająkach“. — Dwoje młodych ludzi nadmiernie idealnych i naiwnych pokochało się szczerze i gorąco. Niedoświadczona para pobrała się bez środków do życia i wkrótce zapożyczyć się musiała u lichwiarza. Od tej chwili stracone szczęście i wolność na zawsze, bo ów lichwiarz tak systematycznie osnuwa nieszczęśliwych siecią wyzysku, że z matni już się nigdy wydobyć nie potrafią i zginą wyczerpani nadmiernym wysiłkiem — wyssani jak mucha, która w sieć pająka wpadła.

Treść prosta i nie bardzo w fabułę bogata, daje jednak autorowi sposobność wprowadzenia i dokładnego przedstawienia typów lichwiarskich, ich pojęć i stosunków, ich całego życia i charakteru. Jest to jeden z słabszych utworów Junoszy, nieodpowiadający rodzajowi jego talentu. Szczera rzewna poezya, rodzinne ciepło wzbogacone różowym humorem — te zalety autora nie mogły w całej pełni wystąpić w tem dziele: zaciemniła je namiętność i zapał chłosty społecznej. Zamiast uczucia i tęsknoty — surowa prawda i obserwacya życiowa, zamiast jowialnego humoru — gryząca ironja. Autor wydał dzieło, nie z serca ale z żółci. Mimo to, gdyby nieszczęśliwa para małżonków nie była tak mglista i niewyraźna, a ciemny koloryt całości był rozjaśniony szeregiem szlachetniejszych postaci i ten najświeższy obrazek Junoszy miałby wybitną wartość przez nakreślenie szeregu znakomitych typów i doskonale oddany obraz rzeczywistości. Bo... bd...

KRONIKA POWSZECHNA.

— Wobec pewnych pogłosek krążących po mieście, zapytujemy się, czy ostatnia korespondencya (**X. Y.**) „Z pod zaboru rosyjskiego“ ogłoszona w dziennikach poznańskich i galicyjskich wyszła z tego samego źródła, które nadesłało korespondencye dawniejsze?

— Wystawa secesyonistów monachijskich zawiera 400 utworów pędzla i dłuta, wśród których znajdują się obrazy pierwszorzędnej wartości. Dokładny referat zamieścimy niebawem.

— W Wiesbaden wystawiono po raz pierwszy z powodzeniem nową komedyą Oskara Höckera p. t. Die Olympier.

— Dramat Maksymiljana Halbego „Die Jugend“ zakazały władze policyjne wystawić w Katowicach i Raciborzu. W dramacie tym występuje dwóch kapłanów katolickich, z których jeden jest typem szlachetnym i humanitarnym, drugi naturą zamkniętą, fanatyczną, z kiełkującą namiętnością erotyczną w duszy. Jest to utwór wręcz niezwykłego talentu, który w Berlinie i innych miastach niemieckich przyjęto z entuzyazmem niemal. W Raciborzu i Katowicach dopatrzono się tam rzekomej tendencyi antireligijnej i wskutek tego usunięto utwór z desek teatralnych, a „Neisser Zeitung w dziwnym paroksyźmie nazwała dramat „ein gemeines, niederträchtiges Schmierstück.“ Jako charakterystyczny wyjątek wśród szląskiej prasy katolickiej zapisujemy wrocławską „Schles. Volks Ztg.“, która o sztuce Halbego wypowiedziała słusznie nader pochlebną opinję.

— „Neues Wiener Journal“ publikuje list profesora Czernego, w którym uczony ten spowiada się z motywów, które skłoniły go do odzucenia ofiarowanej mu katedry chirurgicznej przy uniwersytecie wiedeńskim. Czerny oświadcza, że uczucie wdzięczności dla badeńskiego rządu i narodu odegrało w decyzyi jego ważną rolę, ale rozstrzygającym momentem był fakt, że budowa nowej kliniki chirurgicznej w stolicy austryackiej dopiero za lat 5 ukończoną zostanie.

— P. Dr. Stanisław Kłobukowski, zasłużony redaktor „Przeglądu emigracyjnego“ ogłosi niebawem broszurę o zadaniach „Towarzystwa handlowo emigracyjnego“ i pojedyńczych jego sekcyj; celem Towarzystwa założonego w dniu 15 kwietnia b. r. we Lwowie jest: zdobycie nowych miejsc zbytu dla naszych produktów, dla podniesienia produkcyi naszej rodzimej, usunięcia zbytecznych pośrednictw, tak przy imporcie, jak eksporcie, oraz dokładne zbadanie stosunków rolniczo-handlowo-przemysłowych, tak krajowych, jak zagranicznych, i szerzenie tych wiadomości za pomocą biura informacyjnego, muzeów i wiedzy geograficznej, a niemniej roztoczenie pewnej opieki nad wychodźcami. Tak piękne i doniosłe cele zasługują na żywe poparcie i dla tego polecamy gorąco czytelnikom naszym zapisywać się w poczet członków Towarzystwa. Biuro dyrekcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Hetmańskiej Nr. 12.

— Teatr ruski. Na wystawę krajową zjeżdża teatr ruski do Lwowa i da kilkadziesiąt przedstawień w teatrzyku letnim, umyślnie na ten cel budującym się przy ulicy Kochanowskiego. Trupa ruska, wzmocniona nowemi siłami, a także przy udziale niektórych znakomitych artystek i artystów ukraińskich, przedstawi prócz sztuk znanych już publiczności lwowskiej, także znaczny poczet sztuk nowych. W tej liczbie, prócz nowych utworów ukraińskich, ukażą się także dwie nowe sztuki Iwana Franki: „Riabina, komedya z życia ludu wiejskiego, „Quem Di odere“, komedya, której przedmiotem są losy nauczyciela wiejskiego. Obie te sztuki zostały już przez cenzurę dozwolone do grania. Również wystawiony będzie w tłumaczeniu, a raczej w przeróbce I. Franki, znakomity dramat Kalderona „Wójt Zalamejski“, który przed kilkoma laty z wielkiem powodzeniem dawany był na scenie burgu wiedeńskiego w przeróbce Wildbrandta.

— Najświeższy numer ilustrowanego czasopisma „Świat“ zadawalnia tak pod względem artystycznym jak literackim nawet wygórowane pretensye. Prześliczna reprodukcya obrazu Piotra Stachiewicza p. t. „Na zwiadach“, doskonałe portrety bar. Ludowej, Jana hr. Tarnowskiego i Augusta hr. Cieszkowskiego, poezye Miriana, opisy lwowskiej wystawy z ilustracyami, studyum Adama Dobrowolskiego o Blizińskim i wiele innych ciekawych utworów literackich składają interesującą i barwną całość.

— Głos Rosyanina. „Ruskaja Zizń“ zamieszcza — jak donosi „N. Fr. Presse“ — bardzo zajmujący artykuł jednego z rosyjskich nauczycieli. W artykule tym zarzuca autor szkole rosyjskiej, iż ona jest winną, że młodzież polska bierze udział w demonstracyach politycznych, gdyż szkoła rosyjska gniecie język polski i literaturę. Polityka szkoły rosyjskiej — mówi autor — zatruwa jadem młodzież polską, która wstępuje w progi życia rozgoryczona, dla tego, gdyż jej wzbrania się tego, co szkoła rosyjska w rosyjskich uczniów wpaja, t. j. miłość mowy ojczystej, literatury i historyi ojczystej.

— Czasopismo francuzkie „Revue de Revues“, wspominając o wychodzącem obecnie zbiorowem wydaniu dzieł Włodzimierza Spasowicza, podnosi wielki talent publicysty i mówcy, oraz literacką wartość jego obron sądowych. Charakteryzując autora samego, wyraża się sprawozdawca w sposób następujący: „Spasowicz, będąc wyznania prawosławnego a pochodzenia polskiego, pisząc jednocześnie po rosyjsku i po polsku, usiłował zawsze być nicią braterską, która powinna (?) łączyć dwa kraje. Zadanie najniewdzięczniejsze i najtrudniejsze, domagające się nieustannych ofiar i czynów świetnych! Jeżeli dokonanie tego zbliżenia było nad siły Spasowicza, to przynajmniej miał nagrodę, że go otoczono czcią z jednej i drugiej strony.“

— Niespełna dwa tygodnie temu odsłonięto w Drohobyczu pomnik Adama Mickiewicza, dłuta Tadeusza Barącza, wykonany według projektu tegoż artysty, odznaczonego drugą nagrodą na konkurs krakowskim.

— Komitet warszawskiego Tow. muzycznego wystosował do Paderewskiego odezwę z prośbą o wzięcie udziału w koncercie na rzecz budowy pomnika dla Chopina, w Żelaznej Woli wznieść się mającego. Znakomity artysta odpisał, iż okoliczności nie pozwalają mu uczynić zadość prośbie komitetu i „serca własnego potrzebie“, przesłał jednak na piękny cel ofiarę w kwocie 2000 fr., która uzupełnia fundusz, potrzebny do wzniesienia pomnika.

— Zygmunt Przybylski napisał nową komedyę pod tytułem „Fantazya“, która ma być przedstawiona po raz pierwszy na scenie teatru hr. Skarbka we Lwowie.

Zmarli:

Ramon Rodriguez Correa, słynny hiszpański satyryk, nowelllista i krytyk. Utwór jego p. t. „Rosas y perros“ (Róże i psy) wywołał swojego czasu wielką sensacyę.

Wilhelm Seidel, znany księgarz i nakładca wiedeński.

Jerzy Jan Romanes, profesor biologii w Cambridge, uczeń i serdeczny przyjaciel Darwina, autor wielu dzieł naukowych, stwierdzających obserwacye mistrza.

Karol Rauch, artysta-malarz, dziwak-filantrop. Umarł w Rzymie.

Fabian Sarnecki, artysta-malarz w Poznaniu, lat 95.

— Scipio Vanutelli, malarz-historyk umarł w Monachium.

BIBLIOGRAFJA.

— Dr. Stanisłpw Rybicki. O zapobiegawczem leczeniu wścieklizny u człowieka z krytycznym poglądem na metodę Pasteura. Warszawa 1894.

— Filip Skoraczewski. Bank ludowy w Miłosławiu od 1869—1894 r. (Sprawozdanie jubileuszowe) Poznań 1894.

— Artur Bardzki. Galicyjskie towarzystwo kredytowe ziemskie. Warszawa 1894.

— Piotr Chmielowski. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Zarys literacki. Wydanie czwarte (poprawione i powiększone z 7 ilustracyami). Kraków 1894. Cena 8 mrk. (3 zeszyty).

— M. Zdziechowski. Byron i jego wiek. Kraków 1894. Cena 5 mrk.

— Arne Garborg. Znużone dusze. Studyum. Warszawa 1894. Cena 3,75 mrk.

— Adolf Dygasiński. Na złamanie karku. Powieść. Warszawa 1894. Cena 3 mrk.

— Z dzisiejszej doby: IX. Warszawska młodzież uniwersytecka. 1894. Skład główny w księgarni Polskiej we Lwowie. Cena 0,40 mrk.

— Ks. Dr. Knapiński. Agitacya polityczna duchowieństwa katolickiego pod rządem rosyjskim. Poznań 1994. Cena 1,50 mrk.

— Orion. Historya Polaka w niewoli. Kraków 1894. Cena 2,60 mrk.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Bo... bd. we Lwowie. Prosimy usilnie raz jeszcze o uchylenie przyłbicy.

— 222. Stanowczej opinii wydać jeszcze nie możemy, ale zdaje nam się, że w nadesłanych lirykach błyszczą gdzieniegdzie iskry talentu. Szczególniej zakończenie wierszyka p. t. „Polny wiatr“ odznacza się rzewnem uczuciem i formą dość zręczną. Całość jednak nie zaleca się wybitniejszym artyzmem i dla tego utworów nie ogłosimy w „Przeglądzie“.

— K. S. Praca p. Snitki ukaże się niebawem w osobnej odbitce. Protest pani przeciw naginaniu historyi do politycznych celów podzielamy w zupełności, ale sąd o Bobrzyńskim wydaje nam się za ostry.

— K. L. i M. T. w Paryżu. Fakt, że trzech panów wspólnie abonuje „Przegląd“ nie dowodzi bynajmniej, że „Redakcya powinna zniżyć dla nich prenumeratę“. Trzech przecież łatwiej zapłacić może niż jeden.

— Os. Kar. Zakulisowa robota „naszych najserdeczniejszych“ jest istotnie nikczemną. Słyszeliśmy już nieco o tych „szeptanych“ i „deklamowanych“ przestrogach, słyszeliśmy także o kolporterach i kolporterkach kalumnii wstrętnych. Stoimy jednak spokojni i niezłomni na stanowisku. Nie mamy żadnych ubocznych celów, i pragniemy tylko odświeżyć społeczeństwo zapleśniałe i uczciwie służyć ojczyźnie. Taktyka wrogów naszych to najwidoczniejszy dowód ich słabości. Grande e passa!

— Halinie H. Odpowiedź pani na zaczepki Haliny i spóźniona. Zamknęliśmy już akta nad tą sprawą, a zresztą nie chcemy stać się powodem nowych nerwowych zaburzeń w antagonistce naszej.

Do dzisiejszego numeru „Przeglądu“ dołączamy katalog nakładów K. Bartoszewicza.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.